

Tylko u nas – ogłoszenia drobne za darmo!!!

Program telewizyjny

Lek na raka: „WIST“ zorganizuje
lecnicze wyjazdy na Krym

Łódź Odgłosy

Nr 27 (1712)
Rok I (XXXIV)
24 listopada
1991 r.
Cena 3000 zł

Bez pracy, bez hamulców



Pośredniak:
miejsce
w pierwszej
dziesiątce
kosztuje
100 000
złotych

czytaj
str. 3

Koneserom dobrej kuchni i smakoszą

Restauracja
- Cocktail-
Bar



LYON

poleca dania kuchni francuskiej. Aby zaspokoić życzenia naszych Konsumentów posiadamy duży wybór win francuskich.

*Lokal nasz mieści się przy ulicy
Piotrkowskiej 103/105*

i czynny jest codziennie w godzinach 8.00-24.00.

Pod numerem 32-37-77 przyjmujemy telefoniczną rezerwację miejsc. Na zamówienie organizujemy kameralne przyjęcia i wystawne bankiety. Gwarantujemy obsługę kelnerską na najwyższym poziomie.

**BON APPETIT I DUŻO MIŁYCH
WRAŻEŃ ŻYCZY PAŃSTWU**

Dyrekcja

**Towarzystwo
Ubezpieczeniowo-Reasekuracyjne**

proponuje konkurencyjne składki ubezpieczeń OC komunikacyjnych na terenie województw: łódzkiego, sieradzkiego, skierniewickiego i piotrkowskiego.

Wysokość składki kwartalnej:

za samochód o pojemności do 900 cm³ - 140.000-200.000 zł
za samochód o pojemności 901-1250 cm³ - 200.000-300.000 zł
za samochód o pojemności 1251-1500 cm³ - 300.000-480.000 zł
za samochód o pojemności powyżej 1500 cm³ - 480.000-700.000 zł

Zniżki za bezszkodową jazdę wynoszą:

za 2 lata - 20%, za 3 lata - 30%, za 4 lata - 40%, za 5 lat - 50%,
za 10 lat - 60%.

Przy jednorazowej opłacie rocznej składki udzielamy
10% dodatkowej zniżki.



● Po rezygnacji prof. Bronisława Geremka z misji utworzenia rządu, ZJM komentuje:
*Niewiele Profesor zdziałat,
Bo w tym dylemat tkwił cały,
Ze zbyt jest czerwony dla białych,
A dla czerwonych – zbyt biały.*

● Walka o fotel premiera jest – i owszem – interesująca, ale my i tak obstawiamy ten wariant, w którym padnie popularne już stwierdzenie: – Nie chcę, ale muszę! Równie ciekawy jest wyścig do stanowiska wicepremiera. Jeden z kandydatów na ministra rolnictwa, **Gabriel Janowski**, faworyt świątecznej koalicji pięciu partii, daje do zrozumienia, że podjął się trudów jeszcze większego i mógłby zostać wicepremierem. Jak na razie dziennikarze przepytali go jako kandydata na ministra. Na konkretne pytanie, jak rozwiązałby problem zadłużonych rolników, odpowiedział, że (cytujemy za „Gazetą Wyborczą”) „nie ma sytuacji nierozwiązywalnych. Wystarczy mieć umiejętności, dobrą wolę i dalekosiężne spojrzenie na gospodarke”. Lżej się człowiekowi robi na duszy, kiedy się dowiaduje, że są jeszcze u nas ludzie z dobrym samopoczuciem.

● Sfałszowane podpisy na listach popierających kandydatów do parlamentu, zniekształcenia w mowie, piśmie i uczynkach, autoreklama kandydata na koszt instytucji, w której pracuje, kradzieże materiałów wyborczych, telefony z groźbami, pobicia członków sztabów wyborczych, a nawet strzelanie z wiatrówek do przewodniczącego sztabu (Porozumienie Ludowe w Gdańsku) to tylko niektóre przypadki przestępstw związanych z pierwszymi, w pełni demokratycznymi wyborami w Polsce. W całym kraju prokuratura prowadzi dochodzenia w 47 tego typu sprawach. Natomiast rzecznik prasowy Sądu Najwyższego, Krzysztof Kauba poinformował, że wpłynęło już 88 protestów dotyczących niedozwolonej w przeddzień w dniu wyborów agitacji prowadzonej w kościołach. Na tej liczbie się nie skończy, ponieważ wciąż napływają nowe protesty. O tym, czy zostaną one przez Sąd Najwyższy uwzględnione zdecyduje nowy Sejm. Warto wiedzieć również, że wśród 460 posłów jest 129 przedstawicieli tych grupowań politycznych, za którymi agitowali niektórzy kapłani. Warto wiedzieć również, że Sąd Najwyższy skieruje do Sejmu tylko te protesty, które na prośbę Sądu zostaną przez wyborców wiarygodnie udokumentowane, ze wskazaniem konkretnych księży łamiących prawo wytworzone. Nie wracalibyśmy do tych, przynajmniej smutnych, powyborczych rewanżów, gdyby nie fakt, że co poniektórzy politycy straszają nas, że maluczką, a znowu się nam każe iść do urn.

● Wierzyć albo nie. Jak podaje „Trybuna”, sprostowany z Polski przez spółkę „URMA” (założył ją Jerzy Urban, redaktor naczelny NIE) aparat wskazujący na podstawie analizy śliny kobiety jej dni płodne i niepłodne, w klerykalnym Krakowie cieszy się dużą popularnością. Podobno, w tamtejszej aptece „Grodzkiej” kupili go również ojcowie dominikanie z przeznaczeniem zastosowania go w prowadzonej przez zakon tamtejszy poradni przedmałżeńskiej.

● Aptekarze z województw: piotrkowskiego, sieradzkiego, skierniewickiego i łódzkiego wybrali władze Okręgowej Izby Aptekarskiej. Sprawa pozornie ważna tylko dla farmaceutów, bo przecież wielu z nas ma świeżo w pamięci ostatni strajk prywatnych aptek, kiedy to chory człowiek, biegł z receptą do najbliższej apteki i zastawał drzwi zamknięte. Ponieważ przyczyna akcji protestacyjnej, według nas w formie co najmniej dyskusyjnej, nie została zlikwidowana, to znaczy – budżet jest w dalszym ciągu winien aptekarzom pieniądze za leki wydane na nieodpłatnie i te z 30 proc. zniżką recepty, farmaceuci postanowili zwrócić się o pomoc do prof. Ewy Łętowskiej, rzeczniczki praw obywatelskich i do prezydenta Wałęsy. Nie chcemy być w tym akurat przypadku pesymistami, ale kadencja prof. Łętowskiej właśnie się kończy, a prezydent może dojść do wniosku, że ma na głowie ważniejsze rzeczy.

● Będzie ciekawie w łódzkich kręgach władzy najwyższej. Otóż przewodniczący Sejmiku Samorządowego, pan **Andrzej Terlecki** pozwie do sądu pana Pawła Wojciechowskiego, rzecznika prasowego prezydenta Palki. Spór dotyczy zarzutu sformułowanego przez P. Wojciechowskiego pod adresem Towarzystwa Polska – USA, że na skutek nieprawidłowej działalności lokali użytkowanych przez Towarzystwo, kasa miejska straciła w ciągu 8 miesięcy 54 mln zł. A. Terlecki jest z Towarzystwem ściśle związany. Oczywiście wyobraźni widzimy już tę galerię prominentnych świadków. Mamy nadzieję, że proces nie będzie się toczył przy drzwiach zamkniętych. Czy miasto straciło czy nie owe 54 mln zł, obchodzi nas wszystkich.

● Dziwne pretensje pod adresem **Sławomira Pietrasa** zgłasza red. mks z „Gazety Łódzkiej”. Otóż wspomina dyr. Pietrasowi – dawniej Teatr Wielki w Łodzi, obecnie Teatr Wielki w Warszawie – że przyrzekł nie ściągąć do Warszawy łódzkich gwiazd, a ściga. Do Warszawy odeszli bowiem soliści baletu: **Sławomir Woźniak** i **Tomasz Dembczyński**. Czyżby red. mks nie wiedział(ła), że angaż to tak jak małżeństwo? Dwie strony muszą powiedzieć: – Tak!

B.M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Redaktor naczelny **Paweł Woldan**
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
☎ 36-52-44

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Druk: Drukarnia Prasowa S. A.
Łódź ul. Piłsudskiego 82

Requiem dla zranionej kaczki

Wiele dzienników zaczęło systematycznie zamieszczać rubryki towarzyskie, w Krakowie zaczęła się nawet ukazywać specjalna gazeta poświęcona życiu tak zwanej socjety, choć raczej nie poleciłbym jej ludziom dbającym o dobre wychowanie, tak naprawdę zaś życie towarzyskie powoli zamiera, przynajmniej w Łodzi. Ostatnim tego przykładem jest gwałtowna śmierć Klubu Dziennikarza.

Nie była to instytucja zbyt ekskluzywna, nawet w okresie, gdy obowiązywały specjalne karty wstępu, poświadczane podpisami dwóch wprowadzających. Ale zrodziło się w niej parę anegdot wartych zapamiętania. Stałym bywalcem klubu był na przykład **Zbigniew Nienacki**, który lubił się chlępić przy barze swoimi sukcesami, znużając panią Janeczkę serwującą chińskie i albańskie koniaki. Już zestaw tych ekskluzywnych trunków mówi sporo o czasach, w których się to wszystko działo. Nienacki, człek zresztą zupełnie nietrunkowy, a tylko pijany spływającym na niego splendorami, oświadczył od samego progu:

– *Janeczko, ja teraz tylko pijszę i pijszę, pijszę i pijszę.*

Stojący w pobliżu baru ówczesny redaktor naczelny „Karuzeli” **Leopold Beck**, który nawet w pijanym widzie umiał się zdobyć na celne komentarze, szybko zaripostował:

– *Panie Nienacki, teraz wiemy dlaczego, co pan napisze, to pan spieprze.*

Stałym bywalcem Klubu Dziennikarza przy ul. Piotrowskiej 96 był wybitny malarz **Konstanty Mackiewicz**, jeden z najbardziej artystów łódzkich. Nie opadał mięciła się jego praca, toteż Mistrz Kostia wpadał często na koniaczek, wypijał także szklankę wrzasku z łyżką miodu. Pani **Zosia**, która zastąpiła za barem panią Janeczkę, znała te upodobania, Mistrz **Konstanty**

nie musiał nawet nic zamawiać. Rozsiadał się więc wygodnie, nie stroniąc od towarzystwa młodych autorów, przed którymi rozciągał swoje pomysły literackie. Związany przed wojną z teatrem, gdzie zasłynął jako scenograf, Mackiewicz marzył o napisaniu sztuki. Niestety, władał pędzlem, pióro zaś miał ciężkie. Młodzi ludzie, którzy pod koniaczek chętnie wysłuchiwali zwierzeń Mistrza, nie kwapili się do napisania sztuki według jego pomysłu, chociaż oferował im niesamowite sumy. Bo też i pomysły Mackiewicza były niesamowite.

– *Pan to czuje?* – pytał na przykład Mistrz. – *Następuje katastrofa atomowa. Na ziemi pozostało trzydzieści kobiet i tylko jeden mężczyzna. Czujcie pan to napięcie? Te możliwości? Wiem jak poprowadzić dialog i brak mi tylko poiny.*

Na to odzywa się jeden z literatów:
– *Mam, choć w pana wieku to może być trudne. Po prostu kurtyna opada, a to się podnosi.*

Te anegdoty warte są chyba by przejść nie tylko do legendy Klubu, ale także do legendy miasta, które miało sporo barwnych postaci i to w czasach, gdy nie śniło się jeszcze o Pomarańczowych Alternatywach.

Niestety, Klub stracił barwę, kiedy przeniesiono go na ulicę Sienkiewicza. Czasy były już nie te, środowisko dziennikarskie nosiło na sobie garb kolaboracji z reżimem stanu wojennego, nie pomogły więc boazerie i zagraniczne chodniki. Zabrakło atmosfery, chociaż ówczesna dyrekcja RSW wpakowała w remont pomieszczeń blisko 150 mln zł, co w dzisiejszych warunkach odpowiada co najmniej paru miliardom.

Zdawać się mogło, że upadek reżimu komunistycznego, przyczyni się do odbudowy atmosfery, tym bardziej, że zmienili się bywalcy. Powrócili do pracy dziennikarze usunięci przez osławioną

komisję weryfikacyjną, a weryfikatorzy zaczęli ukrywać twarze w szalikach, jakby nagle rozbolały ich zęby. „Śmietanka” stanu wojennego w ogóle wyniosła się z Łubów.

Niestety, nowy ład informacyjny spowodował, że nagle zabrakło sponsora. Klub przeszedł w ręce prywatne i jeszcze przez jakiś czas próbował pełnić funkcje lokalu środowiskowego: sprowadzono bilard, pojawiła się dyskoteka, a mimo to świecił pustkami. Dziennikarze nie należą do ludzi najlepiej uposażonych w Polsce, nigdy zresztą nie płacono im dobrze, stają się za to często kozłami ofiarnymi. Na dziennikarzy narzekali komuniści, na dziennikarzy narzekał Pan Prezydent i zaprasza do Belwederu tych najbardziej dyspozycyjnych.

Któregoś dnia „prywaciarzowi”, który prowadził Klub Dziennikarza wymówiono lokal, który podobno ma być zamieniony na hurtownię. Oto signum temporis.

Od 1 listopada Klub jest na głucho zamknięty. Na łamach prasy nie ukazał się ani jeden protest. I ja nie protestuję, tylko jak w słynnym wierszu Okudźwazy czegoś mi żal.

Może własnej młodości? A może tego, że dziennikarze w Łodzi okazali się zbyt słabi, aby obronić własny Klub?

Właściwie nie wiadomo dlaczego to akurat kaczka zrosła się z dziennikarstwem i stanowi znak firmowy tej podpadającej coraz bardziej profesji. Co prawda wśród tego gatunku ptactwa nie ma bliźniaków, co czyni je mimo wszystko sympatycznymi. Śpiewam więc requiem dla zranionej kaczki. W Łodzi nie wzięła się zbyt wysoko. Ale czy tylko w Łodzi?

Konrad Frejdlch

Ziemia obiecana powoli staje się ziemią spaloną

W czasie, gdy w stolicy toczą się rozgorączkowane narady polityków, w Łodzi większość dużych zakładów przemysłowych weszła w fazę dogorywania. O dziwo, niewiele można o tym przeczytać w lokalnej, łódzkiej prasie. Niezawodni są tylko nieliczni łódzcy żurnaliści, piszący do tygodników o zasięgu ogólnopolskim. W „Przeglądzie Tygodniowym” (nr 46) **Krzysztof Szychalski** w artykule pod wymownym tytułem „Bagny” opisuje naszą skrzępczą, miejską rzeczywistość, rozpoczynając od wskaźników ekonomicznych, które – jak pisze – „wolne są od ideologii”:

„Po trzech kwartałach br. spadek produkcji sprzedanej w całym polskim przemyśle wyniósł 12 proc. W Łodzi – 16,2 proc. Przeciętne zatrudnienie zmniejszyło się w kraju o 7,1 proc. W Łodzi – o 14,3 proc. Przeciętne wynagrodzenie miesięczne – łącznie z wypłatami z zysku – było w województwie łódzkim o 10,3 proc. niższe niż średnio w kraju i wyniosło 1559 tys. zł. Trzeba przy tym pamiętać, że już rok 1990 – do którego teraz odwołują się statystycy – był rokiem głębokiej recesji. Spadek produkcji sprzedanej w przemyśle łódzkim wyniósł wówczas 34,6 proc. – w lekkim aż 44,2 proc. – podczas gdy w kraju wskaźnik ten sięgnął 25 proc. (...)”

Ziemia obiecana powoli staje się ziemią spaloną. Flagowe fabryki socjalizmu – „Obronońców Pokoju”, „Marchlewski” – stoją na granicy bankructwa. Po ośmiu miesiącach br. w 92,3 proc. przedsiębiorstw przemysłu bawełnianego, 78,6 proc. wełnianego i 66,7 proc. dziewiarskiego zanotowano straty bilansowe. Trudno uwierzyć, że wszystko to jeszcze się kręci.

Często jednak „kręci się” jeszcze tylko teoretycznie. Spośród 379 wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych województwa w dwudziestu pracownicy zarabiają – nie licząc wyplat z zysku – poniżej 900 tys. zł. Pod koniec września 94878 osób było bez pracy. Tak zwana stopa bezrobocia wyniosła 16,3 proc., wobec średniej krajowej 10,4 proc. Coraz więcej ludzi korzystać musi z pomocy społecznej. W ciągu dziewięciu miesięcy br. z zasiłków Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej skorzystało 78 tys. osób, czyli co piętnasty mieszkaniec najmniejszego w kraju województwa.

Autor stara się zidentyfikować przyczyny, które doprowadziły do katastrofalnej sytuacji. Widzi wśród nich również te zawinione przez samych łodzian:

„W Łodzi zbyt późno zrozumiano, że nowa rzeczywistość to nie tylko Matka Boska w klapie prezydenta, ale także uniwersalne reguły gry rodzącej się kapitalizmu. Wolno przebijają się tutaj myśli, że na pomoc centrum liczyć mogą ci, którzy najpierw sami sobie potrafią pomóc. Chociaż aż siedemnastu świetnie wykształconych łodzian przeszło w tym czasie do rozmaitych centralnych urzędów i ministerstw gospodarczych, nigdy nie powstało nic, co można by określić mianem „łódzkiego lobby”. Władze Łodzi posiadały wyjątkowy dar zrażania do siebie szefów instytucji centralnych oraz osiadłych w Warszawie kolegów z dawnej łódzkiej opozycji. Jak dotąd nie było więc mowy o życzliwym doradz-



twie ani nawet o „ścieżce szybkiego przekazu informacji”, która w gospodarce rynkowej ma zasadnicze znaczenie.

Zbyt dużo pary poszło w gwizdek polityczny, zbyt serio potraktowano w łódzkich fabrykach sztandarowe hasło szefa miejscowej „Solidarności” **Andrzeja Słowika**: „Balcerowicz musi odejść”.

Teraz pewnie odejdzie i co to zmieni? Czy następny minister finansów znajdzie dla łódzkich producentów nowe rynki zbytu? Czy zmusi ich do tańszej produkcji? A może wykupi i zmagazynuje gdzieś niechodliwy towar? Balcerowicz zdej-dzie ze sceny, ale słuchani w głos przewodniczącego łódzcy robotnicy kolejny raz poczują się rozczarowani.

Agonii łódzkiego przemysłu przygląda się z bliska **Roman Kubiak** w „Wokandzie” (nr 45). Szczególnie interesują go księgowi z podupadłych firm, a zwłaszcza ich walizki:

„W niepozornej walizce bez problemów mieści się kilkaset milionów złotych. Pod koniec miesiąca jeszcze więcej. Walizka musi być byle jaka, najlepiej dobrze sfatygowana, żeby nie robić apetytu przypadkowym złodziejom. Zwłaszcza w tramwaju, którym gotówka podróżuje najczęściej. W takich walizkach codziennie krąży po Łodzi kilka miliardów złotych.

Walizkowy obieg pieniędzy jest dziś pierwszą tajemniczą przedsiębiorstw państwowych, które chyliły się nad grobem bankructwa. W Łodzi sposób ten stosuje większość fabryk włókienniczych. Dyrektorzy i księgowi nie sprawdzają już zawartości kont bankowych. Konta są puste. Gdyby przelać na nie należności za np. szczęśliwie sprzedane tkaniny, bank położyłby łapę na pieniądzech. Mało która fabryka nie jest bowiem dłużnikiem – banku lub innego przedsiębiorstwa. Dlatego pieniądze omijają konta w walizkach zakładowych kasjerów. Daje to jedyną szansę na wypłacenie pensji albo choćby zaliczki. (...)”

(...)W fabrykach dosyć regularnie wypłaca się pensje. Nierzadko w kilku ratach, gdy dyrekcji uda się coś spieniężyć. Najczęściej są to samochody, maszyny, sprzęt biurowy lub produkty własne sprzedawane po cenach uciążliwych kosztów. Gotówka z przetargów oczywiście nie trafia do banku. Łąduje w walizce księgowego i czym prędzej dzielona jest na pensje.

Walizka księgowego potrafi oddać upadek fabryki nawet o pół roku. Trwa to tak długo, aż dyrekcja i reszta załogi „przeje” zakład do gotowych murów. Dopiero kiedy walizka jest równie

pusta jak hale fabryczne i biura, przedsiębiorstwo państwowe poddaje się.”

Powyższe obrazki świadczą by mogły o tym, że w Łodzi wszystko umiera, nic nowego nie powstaje. Nieprawda! Żywiłowo rozwija się przecież handel, w tym – o czym donosi we „Wprost” (nr 44) **Agnieszka Sowa** – również handel ludzkim ciałem:

„ – Szefie, niech mi szef puści „cycatkę”, inaczej się nie rozbiem – kaprysi Ania.

„Cycatka” to ulubiona melodia **Iwony**, największego biustu w „Sexy Landzie”. Gdy tańczyła w takt wiaackiej muzyki, wielkie piersi objęły się o siebie, wprowadzając klientów w zachwyty. **Iwona** już tu nie pracuje, podobno pozuje do zdjęć, ale „cycatka” dalej śpiewa z taśmą.

Największą atrakcją łódzkiej krainy seksu jest „solówka” – za 50 tysięcy złotych „wybrana dziewczyna zatańczy tylko dla Ciebie”. W kabinie, za szczerze zaciągniętą kotarą, klient ma dziewczynę na wyłączność. Rozbierająca się, a potem tańcząca nago panienka jest od niego na wyciągnięcie ręki, tyle, że za szybką.

– Często zdarza się, że klient nie siedzi bezczynnie – mówi **Agnieszka**. – Niektórzy mężczyźni onaniują się.

Agnieszka mówi, że w takich wypadkach odwraca się i tańczy tyłem. Zresztą cały strip-tease to tylko 5 minut.

Jeżeli komuś nie wystarczy jedna dziewczyna, może zamówić duet – koszty wzrastają dwukrotnie. (...)”

Przybytek rozkoszy wabi łodzian kolorowymi żarówkami nad wejściem i adresem po angielsku. „West street” – to brzmi lepiej niż ulica Zachodnia. Sugeruje, że w środku będzie kapitalistycznie i europejsko, a więc atrakcyjnie. (...) Nie wiadomo, czy zachęta poszukiwała. Panienki nie mają skali porównawczej, nigdy na Zachodzie nie były. **Ania**, lat 21, pół roku temu pracowała w fabryce włókienniczej. Zwolniona, poszukała sobie innego zajęcia – woli rozbiierać się, niż stać przy krosnach. Zwłaszcza, że w ten sposób więcej zarabia – średnio 3 miliony miesięcznie.”

Na tym kończymy, obiecując solennie, że jeśli zdarzy się taki cud, że w prasie ukaze się reportaż z otwarcia w Łodzi nowego hotelu, przedsiębiorstwa, ulicy albo dworca, albo kina czy teatru – niezwłocznie odnotujemy to w „Przeglądzie” poza kolejnością!

Chamstwo, zdziczenie, pierwotność zachowań, narastająca agresja...

Przez zwarty tłum kobiet brnie, rozglądając się na boki, niewysoki mężczyzna w średnim wieku. Zatrzymane na nim spojrzenie uznaje za zachętę, więc sciszonym głosem proponuje:

- Potrzebne panie do szycia kurtek. Trzydzieści milionów miesięcznie!
- Pewnie poza Łodzią - odzywa się podejrzliwy głos.
- Na Brzezińskiej, autobus tam jeździ.
- Trzeba umieć szyc czy do przyuczenia? Ile godzin dziennie? Oficjalnie czy po cichu? - kobieta nie ustępuje.
- Potrzeba szwaczek wykwalifikowanych, a reszta do uzgodnienia z właścicielem.

Nie znalazłszy chętnych, mężczyzna przepycha się dalej. Kobiety kręcąc z niedowierzaniem głowami - dobra szwaczka może wyciągnąć maksymalnie dwa miliony tygodniowo, nie więcej.

lejka nie chce potem wpuścić wygodnickiego na wykupione przez niego miejsce, albo że mający wyjątkową słabość do alkoholu „stacz” nie wiąże się z umowy. Awantura gotowa - zaczyna się od ostrych utarczek słownych, a kończy na krwawym mordobiciu. Bezrobotni, którym szkoda dnia na stanie w kolejce, przychodzą pod bramę pośredniaka koło 4 nad ranem, „stacze” zjawiają się już o 23. Jesienne noce nie należą do ciepłych, a o zdrowie trzeba dbać. Po „leczniczej rozgrzewce” nawet wśród starych kumpli łatwo o różnicę zdań, a rano wokół plotu poniewierają się puste butelki.

Oddelegowani do pośredniaka strażnicy ze Straży Miejskiej nie zawsze mogą dać sobie rade z krewkami, podпиты i agresywnymi klientami. Teren Rejonowego Biura Pracy jest objęty specjalnym nadzorem policyjnym, a przed bramą co rusz parkuje radiowóz. Interwencje zazwyczaj

Idąc po schodach na pierwsze piętro czuje się, jak w powietrzu narasta stężenie alkoholowych oparów. Zapachy niedomytych ciał, brudnych ubrań, przetrwionej wódki, denaturatu, rozpuszczalnika i „popularnych” tworzą na korytarzu osobliwą zawiesinę. Co rusz wybucha głośnie awantura. Osoba, która nieopatrznie zapędziła się na górę, a nie musi niczego nigdzie załatwiać, czym prędzej bierze nogi za pas.

Pod drzwiami pokoi, w których załatwiani są bezrobotni, toczy się bezwzględna walka o byt. Każdy niby skrupulatnie pilnuje swojego i jeszcze dokładniej cudzego miejsca w kolejce, ale chętnie wykorzystają moment nieuwagi, żeby wejść przed innymi. Wygrywa silniejszy. Dla kolejki nie ma ulgowych taryf ani wyjątkowych sytuacji losowych. Nie wpuszczono owdowiałej właśnie kobiety, która w żalobie, z aktem zgonu w dłoni usiłowała „od ręki” zdobyć zaświadcze-

Ludzie zatrudnieni w Rejonowym Biurze Pracy nie mogą narzekać na nudę i brak mocnych wrażeń. Raz na biurku kierownika odezwał się telefon - dzwonili z pierwszego piętra z ostrzeżeniem, że lada moment pojawią się u szefa dwaj podpici, agresywni mężczyźni „z interwencją”. Innym razem były pacjent „Kochanówki” gonili kasjerkę z nożem, w ten sposób usiłując wymusić zasiłek. Jako „argument przetargowy” używany bywa też duży pies bez kagańca, wybita w kasie szyba albo potężne kopnięcia wywalające drzwi razem z futryną. Kiedy pod adresem kasjerki, która w wątpliwym przypadku nie chciała wypłacić zasiłku, padły groźby w rodzaju: „czekaj, kurwo, żywa stąd nie wyjdiesz!”, do drzwi musiał eskortować ją strażnik, a dalej opiekę przejmował mąż.

Zdarzają się też momenty humorystyczne. Pewien facet, bywalec „Górnika” i lokalu „Pod Górale”, był tak pijany, że nie mógł samodzielnie się podpisać, więc nie dostał zasiłku. Żeby skruszyć nieprzejednaną kasjerkę, zaczął wyznawać jej gorącą miłość i rozbić się do naga. Trzech strażników miało problem z ostudzeniem jego zapałów. Z kolei inny gość nie był w stanie napisać upoważnienia do odebrania pieniędzy dla swego również pijanego kumpla, ponieważ ledwo utrzymywał równowagę na... czworaka.

Być może ktoś poczuje się skrzywdzony taką opinią, ale zdaniem pracowników Rejonowego Biura Pracy, ponad połowie zarejestrowanych osób tak naprawdę zasiłek nie należy się. Trzy czwarte absolwentów różnych szkół nawet nie stara się szukać pracy, skoro może brać pieniądze za nic. Status bezrobotnego gwarantuje składki ZUS i staż pracy - trudno orzec ile osób dorabia „na czarno”, ile niezasłużenie pobiera zasiłek.

Niektórzy „bezrobotni” przyjeżdżają do pośredniaka taksówkami albo własnymi luksusowymi samochodami, są odziani w skóry, mienią się kilogramami biżuterii. Arogancko egzekwują to, co „im się prawnie należy”:

- Ty myślisz, kurwo, że ja tu będę stał w kolejce? Szybciej, bo „taryfa” na mnie czeka!
- Pani! Stówę za odebranie zasiłku. Interes mi na Górniku stygnie.

Wielu ludzi stara się zdobyć pieniądze za wszelką cenę - kłamią, wymyślają niestworzone historie, podrobiają dokumenty. Mąż, opowiadając o rzekomej ciężkiej chorobie żony, prawie ją uśmiercił. Rozwiedziona przed 6 laty pani odebrała na podstawie podrobionego upoważnienia zasiłek swojego byłego męża. Córka zarejestrowała jako bezrobotną mamusię odbywającą karę więzienia i co miesiąc przysyłała po odbiór pieniędzy kobiety mniej więcej w wieku matki - jednego dnia z tym samym dowodem osobistym pojawiły się aż cztery panie.

Opisane tu fakty pokazują to ciemniejsze, wstydlive oblicze naszego bezrobocia, obrażają nie od dziś znaną prawdę, że nigdy nie brak takich, którzy tragedię i nieszczęście innych wykorzystują dla własnych celów. Badań socjologicznych będzie wymagać analiza postaw tych prawdziwych i tych fikcyjnych bezrobotnych, poznanie motywów działania ludzi, którzy nagle znaleźli się w nowej sytuacji społecznej. Trudno przecież szukać przyczyn wszystkich wynaturzeń jedynie we frustracji spowodowanej utratą miejsca pracy. Niepokój budzi narastające chamstwo, pierwotność zachowań, brak współczucia i wyrozumiałości, agresja i nienawiść, z jaką reagują i odnoszą się do siebie ludzie połączeni, zdawałoby się wspólnym losem.

Monika Matuszak-Pietras

Obleźnienie

Były takie, co polaszczyły się na kuszące propozycje - szwalnia okazywała się zle oświetloną komórką, a o 8-godzinny dzień pracy, ubezpieczeniu i legalnym zatrudnieniu nikt nie chciał słyszeć.

Rejonowe Biuro Pracy przy ul. Rzgowskiej 30 codziennie przeżywa prawdziwe obleźnienie. Ludzie stojący w bliźniej mazi na podwórzu to sam koniuszek kolejki, która wije się po schodach na pierwsze piętro, by tam przeobrazić się w zbitą masę bezrobotnych z wykształceniem podstawowym i zawodowym (reszta ma swoje biuro na Wólczańskiej), którzy przyszli zarejestrować się albo „odhaczyć” na liście, a przy okazji dowiedzieć się, czy nie ma dla nich propozycji pracy. Każdy przynajmniej raz na dwa miesiące musi się pojawić, inaczej komputer nie naliczy mu zasiłku. Z pracą bywa różnie - np. 13 listopada dla osób niewykwalifikowanych były 2 nowe i 10 starych (z poprzednich dni) ofert, dla robotników wykwalifikowanych - 392 propozycje, w tym 46 dla kobiet. Do południa wydano 65 skierowań.

W przypadku jednej nieuzasadnionej odmowy podjęcia pracy interwencyjnej lub dwukrotnie pracy zwykłej bezrobotny traci prawo do zasiłku. Mimo że o pracę ciężko, wiele osób grymasi. Wymalowana, obwieszona złotem pretensjonalna damulka z ukończoną zaledwie podstawówką na propozycję pracy w szpitalu wybucha oburzeniem:

- Ja - salowa? Niech pan na mnie popatrzy!!!

Z jednej strony szwaczka kręci nosem na dwadzieścia propozycji, z drugiej dla dziewiarza nie ma pracy od siedmiu miesięcy, a inżynierowi metalurgowi oferuje się jedynie posadę „kana-ra” w MPK. Przy bramie wejściowej codziennie urzęduje grupka mężczyzn oczekujących propozycji pracy „na lewo”. Oferty poniżej 2 milionów kwitowane są gromkim śmiechem. Przybycie filmowców poszukujących stu statystów nie wzbudziło niczyjzego zainteresowania. Argumentem przemawiającym do wyobraźni i rozleniwionych nierobstwem mięśni okazała się dopiero obietnica 150 tysięcy za każdy dzień zdjęciowy.

Jedna „wizyta” w biurze pracy trwa przeciętnie 5 godzin, ale bywają i takie dni, że stoi się w kolejce dwa razy dłużej. Zasobniejsi w gotówkę mogą wynająć „stacze”, który w nocy zajmie dla nich kolejkę. Miejsce w pierwszej dziesiątce kosztuje 100 tysięcy złotych. Zdarza się, że ko-

ograniczają się do zaprowadzenia jakiegoś takiego porządku, uspokojenia awanturników i rozdzielania bijących się. Poszkodowani na wszelki wypadek nie składają skarg, wołają w spokoju przez następnego miesiąca odbierać swoje zasiłki.

Plagą pośredniaka są permanentne kradzieże. W zamieszaniu nietrudno wyciągnąć kogoś z kieszeni dowód osobisty wraz z komputerowym wydrukiem uprawniającym do pobierania zasiłku. Zanim poszkodowany zorientuje się i precyzyjnie przez ciżbę ludzi, złodziej zdąży wypłacić w kasie jego pieniądze i oddalić się w nieznanym kierunku.

Pierwszego dnia po otwarciu nowego biura na Rzgowskiej z łazienek zniknęły wszystkie krany, wymontowano nawet dolnopłuk. Kiedyś ze ściany zniknęła tablica ogłoszeń. Pracownicy pośredniaka cały dzień zachodzili w głowę na co komu potrzebna była taka zdobycz, a wieczorem znaleźli ją porzuconą przy bramie wejściowej. Łupem złodziej pada wszystko, co da się ukraszyć - nie powiodła się tylko próba wyniesienia okna. Pan Stasio, konserwator, traci resztki cierpliwości



nie, że mąż był bezrobotny.

- Mam syna, który jest inwalidą III grupy - wyjaśnia inna. - Udało mu się przepracować rok, bo ukrył kalectwo, inaczej nigdzie nie chcieli go przyjąć. Był po zasiłek, ale go w kolejce zbluźnili, zgnetli, chcieli pobić, ukradli torbę. Mocni mogą się pchać, ja nie mam siły. Jestem po zawale... - w oczach starszej kobiety pojawiają się łzy.

Zdaniem pań pracujących w pośredniaku, kobiety są bardziej agresywne od mężczyzn i wcale im nie ustępują w picu alkoholu. Od razu szarpia za ubranie, szturchają boleśnie w zebro, deptają po nogach. Nie chcą przepuścić, specjalnie zastępują drogę, każąc iść dookoła przez podwórko.

- Dziennikarze lubią pokazywać nasze biuro. W telewizji występują najczęściej sami krzykacze, którym nic się nie podobą, natomiast nikt nie interesuje się warunkami naszej pracy - zauważają ze smutkiem pracownice biura, też kiedyś bezrobotne. - Ciągłe klienci zaczepiają nas, szarpiają, opluwają, obrzucają najgorszymi epitetami. Tną zyletką ubrania i grożą rękoczynami. Wchodząc do pokoju, jeszcze dobrze nie otworzą drzwi, a już krzyczą: „pani mi musi...”

Bezrobocie*) w Łodzi	
ogółem zarejestrowanych uprawnionych do pobierania zasiłku	81.035 (K - 36.062)
stanowiska nierobotnicze	27.286 (K - 15.243)
- wykształcenie wyższe	4.389 (K - 2.136)
- wykształcenie średnie	22.897 (K - 13.107)
stanowiska robotnicze	51.242 (K - 19.640)
- wykształcenie zawodowe	22.891 (K - 7.310)
- wykształcenie podstawowe	28.351 (K - 12.330)
absolwenci	2.507 (K - 1.179)
- wykształcenie wyższe	211 (K - 113)
- wykształcenie średnie	1.182 (K - 687)
- wykształcenie zawodowe	1.114 (K - 379)
Od 1 stycznia 1990 do 30 października 1991 wydano 28.861 (K - 11.813) skierowań do pracy	
*) dane na koniec października 1991	

- co rusz niesforni dowiejdą się majstrują przy zamkach, wkładając w dziurki od klucza zapalki i druty, które skutecznie uniemożliwiają otwarcie drzwi.

Kiedy w czerwcu, w felietonie „Nie chcę, ale muszę” („Odgłosy” nr 5), jako w miarę baczny obserwator tego, co się wokół nas dzieje, wyraziłem opinię, że narasta klerykalizm, czyli tendencja do podporządkowania życia społecznego wpływom Kościoła i duchowieństwa, moje zdanie spotkało się z zasadniczą krytyką księdza Waldemara Kulbata („Odgłosy” nr 9 i 12). Mój szanowny polemista uważał między innymi, że „klerykalizm (...) został przez Kościół potępiony i uznany jako nadużycie kościelnych uprawnień, jako ekstrapolacja władzy Kościoła w zakresie duchowym, jako coś godnego ubolewania” oraz że „prawo kanoniczne zabrania duchownym bezpośredniej działalności politycznej”. Sądzę, że pozostaliśmy przy swoich zdaniach: ja - twierdząc, że „zjawisko klerykalizmu jest smutnym symptolem poplątania sfery wiary i polityki”, a ks. W. Kulbat, że są ludzie, „którzy demagogicznie szermują hasłem klerykalizacji”. Wydarzenia z ostatnich tygodni dopisywały swoisty dalszy ciąg naszego sporu.

W ostatnich wyborach parlamentarnych liczni duchowni podjęli rozmaite próby agitacji, w tym także i zabronionej prawnie przez ordynację wyborczą, na rzecz partii, które deklarowały swoją afiliację kościelną, przede wszystkim Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, głównej siły wyborczej Akcji Katolickiej. Mniej ważne są przy tym rezultaty tej agitacji, okazała się ona raczej nieskuteczna i jak sądzę przyniosła porażkę Kościołowi, a przynajmniej jego najaktywniejszym politycznie kapłanom. Istota problemu tkwi właśnie w owej bezpośredniej działalności politycznej i nadużywaniu kościelnych, czy jak kto woli duszpasterskich uprawnień. Prasa wolna od konfesyjnych serwitutów (na szczęście je-

szcze taka istnieje) informowała, że do kilkunastu Wojewódzkich Biur Wyborczych napłynęły protesty przeciwko agitacji wyborczej w kościołach w przeddzień i w dniu wyborów, a jeden z takich przypadków trafił już do Sądu Najwyższego.

We wrześniu, w wywiadzie dla „Życia Warszawy” biskup Alojzy Orszulik, zastępca sekretarza Episkopatu, wyjaśniał, że zgodnie z zaleceniem biskupów w kościołach i na terenach przykościelnych obowiązywał zakaz prowadzenia kampanii wyborczej przed i w czasie wyborów. Tymczasem niemal w całej Polsce rozdawano w świątyniach wyborcze ulotki agitujące, lub wskazywano wiernym na kogo powinni głosować. W Łodzi na przykład taką rolę spełniał „Piełgrzym dla wyborców”, specjalny dodatek do dwutygodnika „Piełgrzym” wydawanego w Pełplinie przez tamtejszą kurię diecezjalną, wzywający do głosowania na partię chrześcijańską. Między innymi ulotka zawierała polecenie, aby nie głosować na kandydatów Unii Demokratycznej, bowiem ta partia nie w pełni akceptuje społeczne nauki Kościoła. O zaleceniu biskupa gorzowskiego, aby katolicy głosowali wyłącznie na katolików, Żydzi na Żydów, komuniści na komunistów, już wręcz nie wypada pisać, gdyż rzecz jest powszechnie znana.

W związku z tymi faktami nurtuje mnie kilka pytań, na przykład - czy mieliśmy do czynienia w

okresie wyborów z nadużywaniem kościelnych uprawnień, albo inaczej mówiąc pomieszczeniem spraw wiary i polityki, czy też niczego takiego nie było? Czy wspomniane przeze mnie fakty można traktować jako przejawy klerykalizmu, czy też można pisać te słowa jest w błędzie i jeszcze na dodatek chce zamknąć Kościół i duchownych w rezerwie, gdzie nie można zajmować się polityką? Komu wierzyć - biskupowi Orszulikowi, gdy zapewnia, że woła Episkopatu było, aby polityka nie wkraczała w mury kościołów oraz księdzu Kulbatowi, gdy publicznie twierdził, że Kościół potępia i zabrania duchownym bezpośredniego wdawania się w działalność polityczną, czy też liczny księżom i biskupom, którzy wzywali: „dobry Polak i katolik głosuje na (...). To jest życzeniem Episkopatu i Największego Polaka Patrioty, Ojca Św. Jana Pawła II” (cyt. za „Gazetą Wyborczą” nr 259).

Wspomniany już biskup A. Orszulik sądzi, że władze kościelne są w stanie uporać się z problemem wdawania się duchownych w doczesne sprawy polityczne, choć nie brak i sprzecznych z tym zdaniem oświadczeń, że kapłan to też obywatel i ma prawo do głoszenia swych poglądów oraz popierania partii i ugrupowań politycznych, które uznaje za bliskie sobie. Idąc tropem tej myśli oraz interpretując fakt, że na przykład ordynariusz łódzki tuż po

wyborach przyjął na audiencji posłów i senatora wybranych z listy Wyborczej Akcji Katolickiej, można domniemywać, że manifestacja politycznych sympatii duchownych nie będzie tylko incydentalna, ale jest tendencją trwałą. A jeśli tak, to można powiedzieć, że „słowo ciałem się stało” - klerykalizm życia społecznego w Polsce stał się faktem, a nie tylko domniemaniem przeważliwionych publicystów.

Biskup Alojzy Orszulik uważa, że „Chrystus, gdy wyganiał przekupników ze świątyni, nie wzywał ani sług Heroda, ani żołnierzy Piłata. Sam wziął powróż i przepędził przekupników”. Chcę wierzyć, że tak się stanie i w Polsce, choć przekupników w domach bożych namnożyło się wielu. Z niemiakiem i zazenowaniem patrzą na ich działalność ludzie szukający w kościele duchowego kontaktu z Bogiem, a nie zgiełku targowiska władzy i próżności. Kto jednak zechce sięgnąć po ów biblijny powróż i pójść w ślady Chrystusa? A może to polityczni przekupnicy już zdolali przepędzić tych nielicznych, którzy pamiętają, aby cesarzowi oddawać co cesarski, a co bożego Boga, czyli nie mieszać spraw wiary i polityki. Szkodzi to bowiem i wierze, i polityce.

Jan Wolborski

Kto kogo potraktuje powrozem?

„Wierzę, że swoim tekstem rozbudziłem nie tylko nadzieję. Jeśli przyczyni się do uratowania choćby jednego istnienia, będę uważał, że ryzyko nie okazało się daremne”.

O d momentu opublikowania reportażu „Chcę żyć – nic więcej”, przedrukowanego następnie przez „Angorę”, redakcja nasza bombardowana jest telefonami z całej Polski, zasypywana listami, a niektórzy czytelnicy przybywają osobiście, aby sprawdzić czy autor relacji z Kijowa nie ukrywa jakichś dodatkowych informacji o „Vituridzie” i medycznym ośrodku firmy „Vita”. Rozbudziłem wiele nadziei, ale też odsłoniłem bezmiar ludzkiego nieszczyścia, znany tylko bliskim osobom skazanych na niezawodną śmierć.

„Właściwie nie wiem, jak zacząć ten list, bo chciałbym, żeby był jednym wielkim wołaniem o pomoc – pisze p. Andrzej N. – Mój ojciec jest chory na raka, który nazywa się „pillmonis dextii”. Tak to nazwali lekarze i orzekli, że jest to najgorszy typ tej choroby, gdyż jest praktycznie nieuleczalny. Zaczyna się od płuc i przesuwa się na kości łopatk lub odwrotnie. O tym, że jest to rak, dowiedzieliśmy się dopiero trzy miesiące temu, gdyż wcześniej wszyscy miejscowi lekarze leczyli go na zwykłe schorzenie reumatyczne. Dodam, że mieszkamy w Krośnie. Dopiero, gdy udało nam się dostać do Instytutu Onkologii w Krakowie, okazało się, że leczenie było błędne. Na dzień dzisiejszy sprawy mają się tak, że tato jest po trzeciej dawce chemoterapii. Choroba nie postępuje dalej, ale lekarze orzekli, że w tym wypadku są beznadziejni. Mogą tylko na jakiś czas odwrócić to najgorsze.”

Najgorsze jest to, że ojciec okropnie cierpi i chociaż jest jeszcze dość silny, to boję się, że tej sily i wytrzymałości nie starczy mu już na długo. Praktycznie nie mogę mu już w niczym pomóc. I właśnie dzisiaj kolega, który jest lekarzem i wie, że szukaliśmy ratunku dla ojca już wszędzie, dał mi artykuł o pani Worobiowej. Nie wiem jak to napisać, błagam was o pomoc w uzyskaniu tego leku. Myślę, że „Viturid” jest ostatnią szansą dla taty. Wiem, że błagających o pomoc jest wielu, ale gdyby to było możliwe, pomóżcie mojemu ojcu. Ma teraz 59 lat. Był zawsze bardzo żywotny, ruchliwy, nigdy nie mógł usiedzieć bez jakiejś kolwiek pracy, a teraz los go doświadczył. Błagam was, a przez Redakcję p. Worobiową, o pomoc. Błaga was także moja matka, żona i dwie córki, dla których śmierć dziadzia byłaby

ogromnym wstrząsem, tym bardziej że niedawno zmarł ich drugi dziadzio”.

Pani Danuta P. z Tomaszowa Mazowieckiego prosi nas o „Viturid” dla swego męża:

„...Zachorował na początku czerwca br. i leżał w szpitalu do połowy września. Obecnie jest na tzw. wyczerpaniu, bo lekarz kieruje go na rentę. Lekarz do mnie powiedział wyraźnie, że to rak płuc. Kierowano męża do Tuszyńska na bronchoskopię, ale mąż nie wyraził zgody na ten zabieg. Mąż dokładnie nie wie, co mu jest, ale wiem na pewno, że się domyśla. Piszę w tajemnicy przed nim, chciałabym mu pomóc, bo jestem przerażona tą chorobą. Piszę to dlatego, bo nie wiem czy tylko wystarczy sama chęć nabycia leku, czy je-

męża. Zdaniem lekarzy choroba jest bardzo poważna. Zaczęła się około 3 miesięcy temu, kiedy to u męża pojawiły się stwardnienia i powiększenia węzłów chłonnych szyi. Mąż przebywa w tej chwili w szpitalu. Jest w trakcie badań. Lekarze podejrzewają raka węzłów chłonnych i gardła.

Pisze Pan w swoim artykule, że leczenie preparatem pani Worobiowej jest najbardziej skuteczne w pierwszych stadiach choroby, u pacjentów, którzy jeszcze nie byli leczeni radiologicznie. U męża nie rozpoczęto jeszcze leczenia. Sprawa jest więc bardzo pilna. Mąż ma 50 lat. Jest człowiekiem bardzo aktywnym, pracowitym, wspaniałym ojcem. Jego straszna choroba jest wielkim ciosem dla całej rodziny. Błagam Pana wraz z

utrzymuje się białkomoc, krwinkomoc i podwyższone ciśnienie.

Obecnie od 6 miesięcy bierze preparat torfowy. Zaobserwowano, że poziom białka w moczu przez ten czas utrzymuje się na jednym poziomie tzn. około 2 promille. Wiem, co czeka moje dziecko, gdy w dalszym ciągu choroba będzie się utrzymywać i dlatego, gdy dowiem się o jakimś nowym leku, to pytam o niego.

Bardzo kocham moją córeczkę, proszę, pomóżcie mi ją uratować”.

O kijowski preparat pytają także sami pacjenci. Wiadomość o „Vituridzie” tchnęła w nich ponowne iskiere nadziei. Listy utrzymane są często w spokojnym, a nawet rzeczowym tonie.

Wielkie wołanie o pomoc

szcze jakiś opis lekarski choroby, lub recepta od lekarza. Preparat „Tolpa” też nie jest lekiem tanim, a jednak bez recepty lekarza się go nie dostanie”.

Szczególnie przejmująco brzmi wołanie pani Katarzyny K. z Łukowa:

„Jesteście ostatnią deską ratunku. Mam bardzo ciężką chorą przyjaciółkę, Małgorzata, bo tak ma na imię, jest śmiertelnie chora, ma czerniaka z przerzutami do wszystkich kości. Od sześciu tygodni już nie chodzi, ma okropne bóle, które nie ustępują nawet po morfinie.

Małgorzata jest bardzo młodą kobietą, ma dopiero 30 lat i jedno sześciolatek dziecko. Ja jestem położną, widzę jak ginie i nie wiem jej pomóc. Jedyna szansa w tym leku.”

A oto inny dramat, który przeżywa pani Krysztyna K. z Tucholi. Pisze ona do mnie:

„Z wielkim zainteresowaniem i ze łzami w oczach przeczytałam Pański artykuł o wynalezieniu przez wspaniałą kobietę Tamarę Worobiową leku na raka.

Niedawno lekarze stwierdzili raka u mojego

moimi córkami o pomoc, o lek lub jakkolwiek informację, gdzie mogłabym dotrzeć, aby go zdobyć. Wierzę w jego skuteczność. Proszę nie odrzucać mojej prośby. Proszę serdecznie o szybki kontakt.”

W podobnym tonie utrzymany jest list państwa S. z Warszawy, których prośbę o „Viturid” wspierają dodatkowo dzieci: Andrzej, Ania i Dorota:

„Nasz tato jest chory na raka mózgu. Ma 60 lat i nie pamiętamy, żeby się na coś leczył lub chorował. Cała historia zaczęła się 8 października br. Tato szedł i po prostu się przewrócił. Badania wykazały nowotwór mózgu. Lekarze stwierdzili (po badaniach histopatologicznych), że jest to nowotwór złośliwy (gliomioma). Tato nie porusza już całą prawą stroną ciała tj. ręką i nogą. Bardzo ciężko jest się z nim porozumieć, gdyż nie może normalnie mówić, choć wszystko rozumie. Nie jest już praktycznie leczony, dostaje wapno, witaminy plus środki przeciwbólowe.

Może ten lek pomógłby naszemu wspaniałemu Tacie”.

Trudno jest wartościować ludzkie tragedie, spróbujmy jednak wczuć się w rozpaczliwe położenie pani Wandy B. z Pszczyny, która pisze:

„Jestem matką trojga dzieci, najstarszy, wkrótce 17-letni syn „otrzymał” w klinice wyrok śmierci – nowotwór mózgu. Dokładne rozpoznanie brzmi: Tu reg. parietalis dex et ventriculi lateralis dex.

Diagnoza jest straszna, nie ma szans na operację, gdyż guz jest umiejscowiony u góry głowy, między dwiema półkulami, bardziej w kierunku prawym, do wewnątrz. Każda ingerencja chirurgiczna w najlepszym wypadku jest kalectwem na całe życie, o ile operacja w ogóle się uda.

Po przeczytaniu tego artykułu wstąpiła ogromna nadzieja. Błagam Państwa, żebym za waszym pośrednictwem mogła kupić „Viturid”. Z kosztami będziemy się jakoś borykać, ale w tym przypadku zdrowie jest najważniejsze.

Proszę Państwa bardzo o powiadomienie mnie w jakikolwiek sposób, jakie są możliwości uzyskania tego lekarstwa.

Pomoc nieszczyśliwym ludziom przyniesie Państwu zdrowie i szczęście na całe życie. Jeszcze raz bardzo gorąco proszę o pomoc, chcąc jednocześnie przeprosić za pismo. Przeżył z synem bardzo odbijają się na moim zdrowiu.”

Z kolei pan Józef P. z Piastowa pisze:

„Mam chore dziecko, 11-letnią dziewczynkę, aktualnie w bardzo ciężkim stanie. Leży ona w szpitalu w Warszawie. „Viturid” byłby dla niej lekiem trafnym, jak wywnioskowałem po przytoczonym artykule na ten temat.

Lek ten zdobędę już za kilka dni. Przywiozł mi go znajomy z Kijowa.

Prosiłbym bardzo Waszą Drogą Redakcję, jeśli macie jakieś dane na temat: składu leku, metod leczenia, dawkowania i w ogóle całej receptury stosowania „Vituridu”, o przesłanie mi w jak najkrótszym czasie potrzebnych mi danych. Bez tych danych lekarze nie zechcą podać leku dziecku. Jeszcze raz serdecznie proszę o odpowiedź z danymi na temat „Vituridu”. Być może to uratuje życie memu dziecku”.

Pan Czesław J. z Łazisk zwierza się:

„Odzyskałem nadzieję na uratowanie mojej żony Lucyny. Lży w oczach nie dawaty mi czytać tego artykułu. Żona moja jest od roku chora na raka, jest po dwóch operacjach: ginekologicznej i usunięciu torbieli przyrośniętych do jelita grubego. Brała chemię i lampy. Stan zdrowia do obecnej chwili nie był bardzo zły. Obecnie grozi jej jeszcze jedna operacja z powodu powstania tego na jelicie grubym.

Moja żona ma 47 lat, mamy czworo dzieci, które potrzebują jeszcze matczynej opieki. Piszę do was, ponieważ widzę nadzieję w leku „Viturid”, który może pomóc w odzyskaniu zdrowia mojej żonie”.

A oto jeszcze jeden charakterystyczny list, nadesłany przez panią Halinę K. z Pabianic:

„Chciałabym dowiedzieć się, czy lek „Viturid” jest stosowany przy chorobach nerek.

Moja 10-letnia córeczka od trzech lat choruje na zespół nerczycowy i wirusowe zapalenie wątroby (antygenemia HBs). Przez trzy lata leczenia nie uzyskano nawet znikomej poprawy. Cały czas

Bezpośrednie zagrożenie pozwala dostrzec sprawy tego świata we właściwych proporcjach i tylko niekiedy w ich słowach dostrzec można zniecierpliwienie, a nawet poirytowanie.

„Zwracam się do Was z gorącą prośbą o umożliwienie mi zakupu tego leku, ponieważ choruję bardzo poważnie na raka piersi – pisze pani Ewa M. z Krakowa. – Pomóżcie mi, bo mam doległości duże, ale jak u nas nie ma tylko chemia. Szukam pomocy, gdzie mogę. Śledzę każdą gazetę, czy gdzie nie ma coś nowego, abym znalazła pomoc. Mam ranę, która piecze, ale i maści też nie ma. Tak onkologia mówi, więc została tylko ciężka cierpota”.

To oskarżenie skierowane pod adresem medycyny, która często okazuje się bezradna i nie tylko nie potrafi leczyć, ale ulżyć cierpieniu, jest stałym akcentem wielu wypowiedzi. Często jest to zarzut czyniony nie wprost, domyślny tylko, i on, przez swoje przemilczenie, brzmi szczególnie donośnie.

„W 1989 r. miałam usuniętego czerniaka złośliwego na lewej stopie. W tym roku mam już przerzuty.

Biorę drugą serię zastrzyków – jest to cytotaryk – naturalny wyciąg z jaskółczego ziela. Na razie poprawy nie widzę – stwierdza pani Jolanta R. z Warszawy. – A chciałabym żyć, mam 39 lat, wspaniałego 10-letniego syna i również wspaniałego męża, który teraz, odkąd przestałam zajmować się domem, prowadzi go do spółki z synem.

Oni wierzą, że ja wyzdrowieję. A ja czuję się coraz gorzej, mam bóle nieporównywalne do żadnych innych. To tak jakby całe ciało człowieka wpadło w rezonans. Być może ostatnią moją szansą jest właśnie „Viturid”.

Często od leku o siebie silniejsze jest poczucie obowiązku. Człowiek nie musi uzasadniać potrzeby istnienia, to jego przyrodzone prawo. Dlatego też jest coś niesłychanie dramatycznego choćby w wypowiedzi pani Anny S. ze Świdnika, gdy pisze:

„Mam 30 lat. Dwa i pół roku temu wycięto mi guz nowotworowy. Lekarze poinformowali mnie, że choroba może się w każdej chwili odnowić, od kilku miesięcy obserwuję nowy guz. Wydarzenia związane z chorobą spowodowały u mnie bardzo silną nerwicę. Błagam o jakiegokolwiek dane o leku, nawet o możliwościach zakupu na czarnym rynku. Do pełnego obrazu mojej rozpaczy i rezygnacji dodam, że sama wychowuję ośmioletniego syna, tylko i wyłącznie dla niego muszę walczyć z chorobą i wyrwać się śmierci jeszcze na parę lat”.

To tylko cząstka korespondencji, która codziennie nadchodzi do naszej redakcji. To tylko małe fragmenty argumentacji, jaką słyszymy w rozmowach telefonicznych i podczas bezpośrednich spotkań z zainteresowanymi.

Jest coś ogromnie pocieszającego, że dotknięci nieszczęściem ludzie nie zostają pozostawieni sami sobie, że troszczą się o nich bliscy, a często nawet tylko znajomi. Ta troska na pewno przynosi im ulgę, dodaje otuchy, choć nie załatwia sprawy najważniejszej – problemów medycznych.

Tej sprawy nie potrafi rozstrzygnąć oczywiście także dziennikarz. I prawdę powiedziawszy waham się, czy w ogóle pisać o „Vituridzie”. Ale zatajenie tej informacji wydało mi się po prostu nieludzkie. Wierzę bowiem głęboko, że swoim tekstem rozbudziłem nie tylko nadzieję. Jeśli przyczyni się do uratowania choćby jednego istnienia, będę uważał, że ryzyko, które podjąłem, nie okazało się daremne.

Konrad Frejdlch

PS. Winny jestem jeszcze jedno wyjaśnienie. Rozumiem ogromną niecierpliwłość tych wszystkich, którzy zwracają się do mnie z pytaniami o „Viturid”.

Wszystkie listy, a nawet dane uzyskane telefonicznie przekazuję firmie „Wist”, która po mojej publikacji, zobowiązała się zainteresować bliżej kwestią antyrakowego preparatu. Nie mogę tu niczego przyspieszyć. Nie mogę także nikogo protegować, nikt nie dał mi tego prawa.

Mogę tylko zapewnić w imieniu tej firmy, że żadna prośba nie pozostanie bez odzewu. K. F.

Reakcja na publikację w „Odgłosach”

„WIST” zorganizuje lecznicze wyjazdy na Krym

– Firma „Vita” zwróciła się do nas z ofertą już pod koniec września – mówi przedstawiciel polsko-ukraińskiego przedsiębiorstwa „Wist” Igor Kuzniecowa. – Zaproponowano nam, by zorganizować w Polsce grupy pacjentów zainteresowanych leczeniem „Vituridem”. Zgodnie z przedstawioną nam ofertą, mielibyśmy się zająć wszystkimi sprawami związanymi z transportem, zakwaterowaniem i wyżywieniem. Stroną medyczną zajmowałaby się firma „Vita”. Chciałbym przy tym podkreślić, iż trudno nam się ustosunkować do samego lekarstwa „Viturid”. Nie jesteśmy w tej sprawie fachowcami i nie możemy w związku z tym formułować opinii na temat właściwości leczniczych specyfiku...

W przedsiębiorstwie „Wist”, które ma swoje siedziby w Warszawie i w Symferopolu na Krymie, są zaskoczeni gwałtowną reakcją polskich czytelników na rewelację naszej prasy o ukraińskim specyfiku. Planowano ewentualne konkretne kroki w tej sprawie uczynić dopiero w pierwszym kwartale przyszłego roku. Jednakże teraz pod wpływem nacisku polskich pacjentów i prasy zamierzają jeszcze w grudniu rozpocząć rekrutację pierwszych grup pacjentów. Zarezerwowano w związku z tym na Krymie od 1 stycznia 50 miejsc w jednym z pensjonatów. Pobyt będzie trwał od 10 do 14 dni. Ostateczna decyzja podjęta zostanie po konsultacji z lekarzami firmy „Vita”. Przedsiębiorstwo „Wist” obiecuje, że będzie na bieżąco informować o wszystkich szczegółach czytelników tygodnika „Odgłosy”. Zapisy na leczenie przyjmowane są już w tej chwili (adres pod który należy nadsyłać korespondencję w tej sprawie podajemy niżej).

Do rozwiązania jest wiele problemów organizacyjnych: trzeba zarezerwować bilety, zapewnić opiekę medyczną podczas podróży, uzgodnić szczegóły związane z wizami. Najtrudniejszą jednak kwestią będzie sama rekrutacja, gdyż firma „Vita” jest gotowa przyjmować na leczenie pacjentów tylko w

określonym stadium choroby. Wymagać to będzie bądź dostarczenia wcześniej dokumentacji lekarskiej, bądź też specjalistycznego badania przed wyjazdem z Polski. Przedsiębiorstwo „Wist” zwróciło się w związku z tym do właścicieli specyfiku o szczegółowe określenie tych warunków oraz metody rekrutacji.

W chwili obecnej firma „Wist” nie przewiduje możliwości sprzedaży tego leku na terenie Polski. Lek nie jest bowiem dopuszczony do obrotu na terenie naszego kraju. Aby tak się stało należy zwrócić się z kompletem stosownych dokumentów do Ministerstwa Zdrowia. – Wyraziliśmy gotowość pośredniczenia w tej sprawie – mówi Igor Kuzniecowa – Poprosiliśmy więc odkrywców i ich prawnych przedstawicieli o skompletowanie wszystkich potrzebnych materiałów wymaganych prawem polskim. Jednakże, nawet jeśli my sami szybko uporamy się z tłumaczeniami i formalnościami, to nie należy oczekiwać, iż decyzja Ministerstwa Zdrowia przyjdzie w ciągu tygodnia czy miesiąca. Tego typu postępowania ograniczone są szczegółowymi procedurami sprawdzającymi i trwa to kilka lat. Dlatego też do tego momentu nie będzie możliwości legalnego obrotu tym środkiem na terenie Polski. Z tego też powodu wszyscy zainteresowani muszą być świadomi, że podejmując leczenie „Vituridem” na terenie Związku Radzieckiego czynią to na własną odpowiedzialność, bez wypowiedzenia się w tej sprawie oficjalnych czynników polskiej służby zdrowia. Niestety, nic w tej sprawie nie można zrobić, gdyż na całym świecie tego typu procedury dopuszczające lekarstwo do obrotu trwają długo. My w tej chwili możemy uczynić tylko tyle, iż pomożemy chętnym trafić do ukraińskich lekarzy leczących tym specyfikiem...

Adres: Przedsiębiorstwo „WIST” Kechemetskaja ulica 180
33 30 22 Symferopol ZSRR

Lek antyrakowy z ... kory cisa

Czy muszą umierać drzewa, aby ciężko chorzy ludzie mogli przedłużyć swoje życie? Antyrakowy preparat rozpala emocje obrońców środowiska.

Mary Davidge, lat 68, z amerykańskiego stanu Oregon, całe życie przeciwstawiała się wycince ojczystych lasów. Teraz ta aktywna obrończyni środowiska postanowiła beczynie przyglądać się jak padają dziesiątki tysięcy rzadkich drzew – chodzi o jej własne istnienie.

W jej jainkach zagnieździł się złośliwy nowotwór; podzieliła los 30 tysięcy kobiet w USA. „Wprawdzie nie życzyłabym sobie, aby drzewa umierały – mówi chora na raka – ale jednocześnie pragnę być leczona Taxolem”.

nywalnych przypadków spowodował obumieranie śmiertelnych narosli.

Niektórzy badacze upatrują już prawdopodobnie w zastosowaniu toksyny roślinnej „budząc nadzieję chemoterapię stulecia” („The Wall Street Journal”). Wielce obiecujące krople ciso-we zostały wypróbowane w schorzeniach nowotworowych płuca, piersi i jelita grubego”.

Dzięki temu do środka ratującego życie awansowała nieoczekiwanie akurat roślina, która dotychczas miała raczej związek ze śmiercią: już w antyku długowieczne cisy, prawdopodobnie z powodu ich wyjątkowej toksyczności, znakowano jako drzewa śmierci. Również w kulcie zmarłych u Celtów działające posępnie drzewa iglaste

korze lecz, sądząc z czerwonych torebek nasieniowych, zawierają ją wszystkie części rośliny. Może więc udałoby się pozyskiwać pożądaną substancję nie tylko po ścięciu cisów. Być może Taxol można produkować także z igieł poddanych prasowaniu. Istotna dla życia kora drzew pozostałaby przy tym nie naruszona.

Jednakże igły zawierają znacznie mniej Taxolu niż kora, a do tego w znacznie bardziej zanieczyszczonej postaci, jak podkreślają rozmówcy z Bristol-Myers. Mimo to francuska firma Rhone-Poulenc wytwarza bliźniaczy środek Taxotere z (europejskich) igieł cisowych; w pierwszych badaniach klinicznych wykazał się 2,5 raza silniejszym współczynnikiem niż Taxol.

W przyszłości istnieje nawet możliwość produkcji Taxolu pozyskiwanego w pełni z kultur roślinnych dzięki syntezie enzymów. Ta pracochłonna droga produkcji Taxolu, agituja obrońcy środowiska, będzie lepsza także dla medycyny, niż dzisiejsze pospieszne niszczenie wartościowych zasobów cisa. Miłośnik drzew Wendell Wood: „Nie zabija się kury, która znosi złote jaja”.

Prócz tego: Taxol został „całkiem przeceniony”, konstatuje onkolog Michael Schietzel z Uniwersytetu Witten-Herdecke – jak wszystkie toksyny komórkowe ten rzekomo cudowny lek daje „liczne działania uboczne”.

„Der Spiegel”

Przełożył:
Jerzy Darnal

P.S.: Uwaga, Czytelnicy, w najbliższym numerze „Odgłosów” zamieścimy kolejny materiał o stosowanych na Zachodzie nowych środkach antyrakowych.

Spór o Taxol

Wytekniony preparat, który stał się jej ostatnią nadzieją, jest wyciągiem z kory unikatowych pacyficznych cisów (*Taxus brevifolia*). Szkopuł w tym, że bardzo powoli rosnące drzewa (dwadzieścia metrów w ciągu dwustu lat) niechybnie zginą przez ten proceder.

Mierzące do piętnastu metrów wysokości drzewa iglaste znajdują się przede wszystkim w północno-zachodnich stanach USA w chronionych lasach. Dokładnej liczby cisów, których zasoby są strefą życia dla zagrożonych zwierząt, nikt nie zna; sądzi się jednak, mówi Wendell Wood z Oregon Natural Resources Council, że „rezerwy są ograniczone”.

Bruce Chabner, współpracownik Narodowego Instytutu Rakowego, przewiduje w związku z tym „zasadniczy konflikt między medycyną a środowiskiem”. Tak więc tylko w tym roku przedsiębiorstwo farmaceutyczne Bristol-Myers zamówiło około 342 tony kory cisowej, aby prowadzić dalsze badania nad Taxolem – oznacza to wyrok śmierci dla 38 tysięcy cisów. Obrońcy środowiska obawiają się, że popyt na Taxol w następnych latach szybko wzrośnie. „Ten gatunek drzewa nie jest jeszcze zagrożony” – stwierdza leśnik Nan Vance – „ale poważnie niepokoję się o dalszy rozwój wypadków”.

Już w końcu lat sześćdziesiątych odkryta została hipotetyczna substancja cytostatyczna, kiedy Narodowy Instytut Rakowy systematycznie przebił rodzimą florę w poszukiwaniu możliwych roślin leczniczych. Silna toksyna roślinna z grupy alkaloidów – paraliżująca serce i centralny system nerwowy – stosowana w różnych rodzajach raka u doświadczalnych myszy, okazała się wielce obiecującym kandydatem.

Jak sobie przypomina pionier Taxolu William McGuire, w 1985 r. u pewnej kobiety z nowotworem jajnika w daleko posuniętym stadium nastąpiła „dramatyczna reakcja”. Dalsze próby potwierdziły, że Taxol, zaaplikowany dożylnie, w 30 procentach wszystkich porów-

grały podstawową rolę; jeszcze dzisiaj cisy, przede wszystkim na Wyspach Brytyjskich, są dominującymi roślinami na cmentarzach.

Cudowne właściwości, których spodziewamy się obecnie od liczących nawet 800 lat drzew iglastych, mogą spowodować ich zagładę. Obrońcy natury zarzucają firmie Bristol-Myers, a także innym przedsiębiorstwom farmaceutycznym, że nie dość poważnie traktują alternatywny sposób pozyskiwania Taxolu.

Właściwa toksyna roślinna, z której ostatecznie produkuje się Taxol, występuje nie tylko w samej



Sam wyleczyłem się z raka

Rozmowa z Cezarym Kwiatkowskim, organizatorem kursów samodoskonalenia i Qi-qong w Łodzi

– Organizuje pan kursy Qi-qong, lecz niewiele osób wie, co to jest. Niektórym kojarzy się to kung-fu lub innymi walkami Dalekiego Wschodu.

– Qi-qong nie jest żadnym sposobem walki. To ćwiczenia oddechowe, leczące wiele chorób. Głównie astmę, schorzenia dróg oddechowych, nerwice.

– Czy to prawda, że dzięki nim wyleczył się pan sam z raka?

– Wyleczyłem się dzięki technikom leczniczym Dalekiego Wschodu. Do nich zalicza się Qi-qong. W wieku dwunastu lat stwierdzono u mnie guzowatość tarczycy o charakterze nowotworowym. Operowano mnie, a następnie leczono jodem. Poza tym miałem wężenie tchawicy, co powodowało bardzo częste zapalenia oskrzeli. Cierpiełem również na zapalenie wązadeł głosowych (co uniemożliwiło mi mówienie) i zaburzenia gruczołów przytarczycznych. Lekarze stwierdzili, że mój stan zdrowia jest beznadziejny i radzili „zyczyć mi” moim rodzicom, by zaczęli sobie robić drugie dziecko. Ja doskonale zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji, więc natychmiast przyplątała się nerwica ze wszystkimi swoimi dokuczliwymi objawami.

– Wtedy wziął pan swoje zdrowie w swoje ręce?...

– Moim zdrowiem zajęła się wówczas moja matka, która od dawna interesowała się kulturą i technikami leczniczymi Dalekiego Wschodu. Pod jej okiem zacząłem wykonywać ćwiczenia koncentracyjne, które pozwoliły mi opanować umysł. Dzięki nim wyleczyłem się z nerwicy. Osiągnąwszy stan w miarę dobrego samopoczucia psychicznego, postanowiłem odzyskać sprawność fizyczną. Niestety, nie było to proste. Organizm miałem osłabiony, nie rosłem tak, jak moi rówieśnicy, miałem trudności z mówieniem. Ponadto po operacji prawie w ogóle nie poruszałem się! Musiałem włożyć wiele wysiłku w to, by

móc... NORMALNIE chodzić, siadać, wstawać...

– Jest pan judoką. W jaki sposób nauczył się pan judo, mając takie trudności z poruszaniem się?

– Trener przedstawił mi najprostsze ćwiczenia, które wykonywałem długo, powoli i dokonując częstych przerw. Sam fakt jednak, że mogę ćwiczyć, spowodował, że udało mi się przełamać barierę psychiczną.

Skoro mogę ćwiczyć, to znaczy, że nie jestem taki całkiem do niczego – tłumaczyłem sobie. Z czasem sam zacząłem zwiększać zakres ćwiczeń, jakie pozwolił mi wykonywać trener. W tym też czasie zacząłem interesować się bliżej kulturą Dalekiego Wschodu. Rozpocząłem medytację i regularnie wykonywanie ćwiczeń Qi-qong.

Oprócz nich zacząłem wykonywać gimnastykę ruchową tzw. „tai-ii-quang”. Oczywiście przez cały ten czas nie przestawałem ćwiczyć judo, w którym miałem coraz większe postępy. Dzięki tym wszystkim ćwiczeniom udało mi się „nawiązać kontakt” z własnym ciałem, poczuć, że mam na nie jakiś wpływ...

– Czy zestaw ćwiczeń aplikował pan sobie sam, czy też korzystał pan z pomocy lekarzy, terapeutów?

– W pierwszej fazie korzystałem z pomocy matki, później trafiłem do chińskiego lekarza medycyny naturalnej, który wyleczył mnie całkowicie, usuwając jednocześnie negatywne skutki, jakie pozostawiła po sobie choroba. Chiński lekarz podał mi zestaw ćwiczeń, powodujących przywrócenie mojemu ciału równowagi zakłóconej podczas operacji.

– Jak długo i jak często wykonywał pan ćwiczenia?

– Na początku ćwiczyłem 2 razy dziennie, po godzinie, później trochę częściej. Ćwiczenia podane przez lekarza chińskiego wykonuję już piąty rok. Skutek jest wręcz nieprawdopodobny. Jestem z wykształcenia biologiem, więc orientuję

się dobrze w tym, jak w „normalnych” warunkach wyglądałby mój organizm. Żaden człowiek po usunięciu tarczycy nie może być sportowcem, gdyż system powodujący zwiększenie wytrzymałości ciała oraz jego odporności na niedobór tlenu jest sterowany tarczycą. Tymczasem ja biegam, chodzę po górach, trenuję judo – obecnie już na równi z innymi, zdrowymi i sprawnymi ludźmi. Kiedyś lekarz powiedział mi, że nie mam co próbować przebiec trzech kilometrów, gdyż mój organizm temu nie sprosta. Nie posłuchałem go i przebiegłem. Mój organizm – sprostał! Za nieprawdopodobne uważam również to, że będąc po operacji, która uszkodziła mi wązadła głosowe – mówię!

– Czy nie uważa pan, że medycynie Dalekiego Wschodu zawdzięcza pan odzyskanie pełnej sprawności po chorobie, ale wyleczenie z samej choroby zawdzięcza pan jednak lekarzom?

– Nawet jeśli jest tak jak pani mówi, to trzeba również pamiętać o tym, że ci sami lekarze nie dawali mi żadnych szans...

– Sporo ludzi odnosi się sceptycznie do medycyny naturalnej, uważa ją za mało skuteczną. Co pan na to?

– Za jej skuteczność ręczę własnym przykładem. I proszę mi wierzyć, że takich osób jak ja jest więcej. Oczywiście wykonywanie ćwiczeń nie przyniesie natychmiastowych efektów. Należy się uzbroić w cierpliwość. Najważniejszym atutem technik leczniczych Dalekiego Wschodu jest to, iż nie przynoszą one skutków ubocznych, dlatego gorąco zachęcam wszystkich cierpiących z powodu astmy, chorób dróg oddechowych i nerwicy, aby poddali się leczeniu za pomocą ćwiczeń Qi-qong.

Rozmawiała:

Magdalena Grochowalska

50 tys. łódzkich dzieci ze skrzywieniem kręgosłupa

„W związku z nieprzyznaniem środków na zaopatrzenie ortopedyczne, z dniem 1 września 1991 roku zawieszam do odwołania dokonywanie jakichkolwiek zamówień dla chorych, z wyjątkiem posiadających zlecenia (zobowiązania płatnicze) wydane przez inne instytucje (MON, WSW, PKP, zakłady pracy, inne województwa i ZOZ). Zaopatrzenie natychmiastowe w posiadany jeszcze sprzęt gotowy odbywa się w trybie dotychczasowym” – taka wymowna w treści informacja wisi na drzwiach Wojewódzkiej Poradni Zaopatrzenia Ortopedycznego w Łodzi.

– Dzieli pan pacjentów na lepszych i gorszych? – pytam kierownika poradni, dr Mieczysława Prosnaka.

– A co mam robić, jak nie mam forsy? Myśli pani, że szlag mnie nie trafia, jeśli chorego z nogą krótszą o kilkanaście centymetrów muszę odesłać z kwitkiem, a dziewczynie z lekko skrzywionym palcem wydaję obuwie ortopedyczne za darmo? No, ale ona ma płatnika, a on nie. Od kilku miesięcy już nie mam grosza. Od 1 września zawiesiłem zlecenia dosłownie na wszystko, od tej pory nie wyszło żadne – nawet na 100 złotych. Żeby było jeszcze weselej Wojewódzki Szpital Zespolony im. M. Kopernika,

Na nogi trzeba poczekać...

któremu podlegamy, unieruchomił całą produkcję. Butów więc mieć nie będą, a za materiały do ich wytworzenia i tak będę musiał zapłacić, bo je zamówiłem dużo wcześniej. To prawda, że dyrektor szpitala, dr Józef Tazbir, wylazi ze skóry, żeby zdobyć pieniądze, ale też ich nie ma. Kompletny kłops. To się tak ciągnie już od wiosny.

– Jednym słowem chorzy, na przykład po amputacjach nóg, skazani są na przykucie do łóżka?

– Tak i to jest tragiczne. Ci o wielkich, niedźwiedziach stopach mają szczęście, bo dla nich jeszcze protezy mam. Pozostali muszą czekać, nie wiem, jak długo. A dla niektórych z nich jest to wyrok śmierci. Ja wcale nie przesadzam. Stwierdzono, że 20 procent pacjentów po amputacjach nóg z powodu choroby naczyń obwodowych, umiera, jeśli nie chodzi. Po prostu dostają zatorów. Czyli na stu ludzi osiemdziesięciu uda się uratować dzięki protezom, a dwudziestu zginie. Do naszej poradni trafia rocznie około 300 takich chorych i wciąż ich przybywa. Mogę nawet mieć w magazynie 50 sztucznych nóg i nie mieć zaopatryć konkretnego pacjenta. Bo akurat mam lewe nogi, a potrzebuję prawych. Albo mam wielkie stopy, a potrzebuję małe. Na szczęście znalazłem prywatnego wytwórcę, który mi zrobi trochę protez nóg na kredyt. Co prawda są prymitywniejsze technologicznie, ale są!

– Dobrze, że jeszcze w ogóle cokolwiek ma pan w magazynie...

– A żeby pani wiedziała. Ten pogardzany przez niektórych magazyn utrzymuje teraz całą działalność poradni, inaczej trzeba by ją było zamknąć. Tylko, że coraz bardziej świeci pustkami. Kule łokciowe już się w ogóle skończyły, nie ma ani jednej i nie będzie, dopóki nie dostanę pieniędzy, czyli w najlepszym razie do przyszłego roku. Nie ma połowy rozmiarów gorssetów dla dorosłych. Kiedyś 80 procent chorych otrzymywało je natychmiast, dziś wystarczy, że ktoś jest trochę za gruby, albo za chudy i ma z głowy. Dawniej zamawiało się po prostu takie gorssety dla indywidualnego chorego. Teraz nie mogę tego robić, bo nie mam z czego zapłacić. Owszem, niektórzy „geniusze” radzili mi, bym brał teraz miary, zamawiał, a płacił przy odbiorze, czyli za pół roku. Tylko że za pół roku to już będzie zupełnie inny pacjent, gorsset przecież musi być dokładnie dopasowany do sylwetki człowieka, żeby spełniał swe lecznicze zadanie. No a z dziećmi to już w ogóle jest tragedia. Nie mamy możliwości technicznych, żeby robić dla nich gorssety na miejscu. Zamawianie u innych wytwórców, w różnych regionach kraju, mijają się z celem, bo czeka się na nie... 9 miesięcy. Po tych dziewięciu miesiącach naturalnie gorsset nie pasuje, bo dzieciak zdąży urosnąć. Dzieciarnia więc skazana jest na krzywe kręgosłupy. A już 20 lat temu było w Łodzi 35 tysięcy dzieci ze skrzywieniami kręgosłupa, obecnie z pewnością jest ich co najmniej 50 tysięcy.

cd. na str. 7

Człowiek może umrzeć i nikt nie będzie wiedział...

Czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałam. A różne rzeczy zdarzały się na naszym osiedlu. Raz umarł lokator, tydzień siedział na sedesie. Trup. Ale nie wyglądał tak okropnie, jak ten człowiek, żywy jeszcze. Brudny, rozgorączkowany, cały w odleżynach, usta spierzchnięte, nogi w krwawych ranach, ropa już z nich leciała. Żyłaki mu popękały. I jeszcze ta noga złamana w kolanie. Powiedział mi, że się z domu przewrócił – opowiada Jadwiga Zgid, starszy administrator w administracji osiedla im. Wł. Jagiełły, należącej do Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów”.

– I tak całe szczęście, że się o tym w ogóle dowiedzieliśmy – kontynuuje. – Bo pewnie by umarł bez pomocy. Lekarz ze szpitala mówił mi, że on jest bardzo wycieńczony i w tak tragicznym stanie, że najprawdopodobniej ze trzy tygodnie nie jadł. W dodatku cały organizm ma zakażony, jakieś choroby skóry, bo po śmietnikach chodził, wszystko co się dało zbierał i sprzedawał.

– No to w końcu znalazł się w szpitalu?

– Tak, ale po jakich przebojach – odpowiada kierownik administracji, Mirosław Ścibor. – A pewnie w ogóle by się w nim nie znalazł, ani nie miał żadnej pomocy, gdyby nie pani doktor Danuta Raut. Akurat w tej samej klatce mieszka. To ona zadzwoniła po pogotowie ratunkowe i nas zawiadomiła prosząc, żebyśmy jakoś zabezpieczyli mieszkanie, jak go zabiorą. Sama musiała iść do szpitala, klucze zostawiła sąsiadce. To było we wtorek, przed południem. Posłałem tam natychmiast koleżankę, właśnie panią Jadzię, bo to jej rejon.

– Posłałem, ale pogotowie nie przyjeżdżało. Wróciłam do administracji, pan kierownik zadzwonił jeszcze raz na pogotowie, to już była prawie godzina 17.

– Tak, zadzwoniłem, poprosiłem o numer dyzpozytorów, przyjmującej zgłoszenie. Poskutkowało. Po niespełna godzinie karetka przyjechała.

– Pani doktor z pogotowia absolutnie nikomu nie pozwoliła wejść do pokoju, kazała wszystkim założyć maski, bo stwierdziła, że to stanowi zagrożenie epidemiologiczne – opowiada dalej pani Jadwiga. – Odór był rzeczywiście straszliwy. Nie pozwoliła mi nawet podać jedzenia czy picia. Dala mi skierowanie, takie zlecenie na specjalny transport i powiedziała, że trzeba go zawieźć do Stacji Pogotowia Ratunkowego na ulicę Sienkiewicza, to przysłał inną karetkę. I odjechała. Zaczęłam szukać kogoś z sąsiadów kto ma samochód, żeby to szybko zawiózł. Znalazłam. Posłałam do domu, ale cały czas o nim myślałam, spać w nocy nie mogłam. A następnego dnia rano

dowiedziałam się, że karetka nie przyjechała...

– Wtedy znów zadzwoniłem do pogotowia, ale już tym razem do dyrekcji – dodaje kierownik. – To było punktualnie o godzinie 8.15 w środę, mam zapisane w kalendarzu. Wreszcie trafiłem na kogoś, kto się całą sprawą zainteresował. Nazywał się doktor Krzysztof Wagner. Powiedział, że zaraz będzie interweniował. No to posłałem znowu panią Jadzię do chorego, a sam zatelefonowałem jeszcze do naszej bałuckiej stacji Sanepid, bo pomyślałem sobie – co to będzie, jeśli rzeczywiście jest zagrożenie epidemiologiczne? Sympatyczna pani Karpińska poradziła mi co robić dalej i z kolei ona zawiadomiła Ośrodek Pomocy Społecznej na Bałutach. Panie z tego ośrodka natychmiast zaczęły działać.

– Karetka przyjechała już przed godziną 9, czekała, a tymczasem on nie chciał się zgodzić, żeby go zabrali. Co ja się go naprosiłam, natłumaczyłam, że w szpitalu mu pomogą, wyleczą, że tu sam zginie. Półprzytomny był, niewiele rozumiał. Wreszcie w jakimś przełyku świadomości powiedział – „no to dobrze, pani kierowniczko”. Zawołałam sanitariuszy. W koc go zawinęli, bo leżał nagi. Wzięli na nosze. Mówią mi, że go wiozą do szpitala w Łagiewnikach, ale nie wiedzą, czy go tam przyjmą. Jeśli nie, to go przywiozą z powrotem. Rany boskie pomyślałam sobie – do tego śmierdzącego mieszkania? Dzwonię do szpitala. Pan doktor sam był wstrząśnięty jego stanem. Powiedział mi że zrobili wszystkie podstawowe badania, nakarmili go, bo był bardzo wygłodzony, ale teraz muszą odesłać do Szpitala im. M. Kopernika, bo chyba trzeba założyć gips na złamaną nogę. A potem może uda się znaleźć dla niego miejsce w pogotowiu opiekuńczym przy ul. Róży Luksemburg. Następnego dnia zadzwoniłam do Szpitala im. Kopernika, dowiedziałam się, że został przewieziony do Szpitala im. Radlińskiego, ortopedycznego. W stanie bardzo ciężkim. Szukałam jego córki, żeby ją zawiadomić o tym, gdzie jest ojciec i co się z nim dzieje, bo z żoną są po rozwodzie, nie utrzymują kontaktów. Udało mi się. Nawet pojechała do szpitala i potem zawiadomiła mnie, że wcale nie jest z nim tak tragicznie. Rodzina od razu chciała klucze do mieszkania, sugerowała, że to był napad. A przedtem się nim nie interesowali.

– Ani rodzina, ani sąsiedzi. Nikt z sąsiadów nie zauważył, że on przez trzy tygodnie nie wychodzi z domu?

– No właśnie, nas to też dziwi. Tym bardziej że podobno nawet sąsiedzi klucze mieli. Każdy mógł wejść, tylko nikt nie chciał. Wszyscy go znali. Podrzucali mu makulaturę, szmaty. Pod okno, bo on na parterze mieszka. Sterta rosta i nikogo



to nie zastanowiło. Ludzie go nawet lubią. Owszem, lubił sobie wypić, ale nigdy się nie awanturował, nie był uciążliwy. Zawsze grzeczny, układny, spokojny. Starszy już, koło siedemdziesiątki. Renta nie na długo mu starczała, bo zawsze kumple go naciągali na wódkę. Taki był łatwowierny, że szybko bez grosza zostawał. A potem zbierał śmieci, żeby jakoś do końca miesiąca dożyć. Dla administracji też uciążliwy nigdy nie był. Sprzątał te sterty staroci spod okna, myśli zaraz trawnik lizolem wylewali. Teraz całe mieszkanie musieliśmy wydezynfekować. Na wszelki wypadek zrobiliśmy dezynfekcję i dezynsekcję, żeby się jakieś robactwo nie rozpleniło. Z Sanepidu w ogóle nie przyszli, powiedzieli, że to sprawa nasza i pracownika socjalnego.

– Tak strasznie to mieszkanie wygląda?

– Chce pani zobaczyć? Możemy pójść, bo akurat jest dzielnicowy. Bez policji tam nie wchodzi, klucze są zamknięte w kasie pancernej. Niczego nie ruszamy, jest tak, jak było.

Kilkupiętrowy blok. Drzwi na parterze za plombowane. Otwieramy. Niebotyczny smród. Nie zdołały go zabić nawet środki dezynfekujące.

– To jeszcze nic. Jak tak trup poleży kilka tygodni to dopiero jest odór – pociesza mnie sierżant Grzegorz Zaremba.

Zatykam nos i wchodzę. Rozgrzebany tapczan, bez pościeli, koldra i coś, co chyba służyło za prześcieradło całe poplamione mieszaniną zaszniętej krwi, ropy, moczu i kału. Pod oknem zdezynkowany, na wpół otwarty tapczanik – ruina. Straszliwy bałagan. Brudna podłoga usłana petami. Cudem udaje mi się dobrać do kuchni. Obraz nędzy i rozpacz. Rozwalona szafka czy może lodówka? Na stole metalowe miski i... nocnik. Wszędzie walają się jakieś butelki. Do łazienki już wólc nie zaglądać. Wychodzę i łapię wreszcie oddech.

Sąsiadka bardzo mi współczuje.

– Musi pani teraz odetchnąć świeżym powietrzem – mówi. Widzi pani, w jakim stanie to mieszkanie. Bibki tu urządzali. Lepiej by już nie wracał.

– Mieszka pani obok i nie zainteresowała się pani, że on nie wychodzi? – pytam.

– Pukałam. To powiedział, że otworzyć nie może, bo słaby jest i nie wstaje. A jak ma nie być słaby, jeśli pije?

– No dobrze, ale skoro nie mógł wstać z łóżka, to przecież trzeba mu było pomóc, chociaż coś do jedzenia dać, lekarza wezwać.

– To niech mu kumple pomagają...

W Ośrodku Pomocy Społecznej Łódź-Bałuty sprawę już dobrze znają. Wszystkie pracujące tu panie zaangażowały się w jej załatwienie. Najbardziej Małgorzata Karp, bo chory mieszka w podległym jej rejonie. Codziennie wydzwaniała do szpitala, żeby dowiedzieć się o stan podopiecznego.

– Nigdy nie korzystał z żadnej naszej pomocy – mówi. – Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, w jakich warunkach żyje, mieszka. Z rozmów przeprowadzonych z sąsiadami wynika, że lubił zaglądać do kieliszka, ale nie był uciążliwy. Jednak nikt nie chce się nim zająć, jeśli wróci do domu. Na rodzinę liczyć nie można, podobno w ogóle go nie odwiedzała, nie interesowała się nim. Jeśli chory wyrazi zgodę, to możemy postarać się o umieszczenie go w domu pomocy społecznej, gdzie przynajmniej miałby zapewnioną opiekę, wyżywienie. Ale pewnie się na to nie zgodzi, skoro nawet bronił się przed zabraniem przez pogotowie ratunkowe do szpitala. W takim przypadku zagwarantujemy mu pomoc opiekunki społecznej w jego własnym domu. Przecież nie można człowieka zostawić na pastwę losu. Jak sobie da radę sam – bez nogi? Bo lekarze powiedzieli mi, że najprawdopodobniej grozi mu amputacja nogi. Wdała się gangrena. Pewnie gdyby go wcześniej ktoś znalazł, zainteresował się, co się z nim dzieje i wezwał lekarza, to do tej tragedii by nie doszło. To straszne, że w takim wielkim bloku pełnym ludzi człowiek jest zupełnie sam. Może umrzeć i nikt o tym nawet nie będzie wiedział...

Hanna Jaskiewicz

Sztwyne zróżnicowania płciowe rodzą wiele dewiacji i cierpień

Jacek i Agata są rodzeństwem. Mieszkają wraz z rodzicami w jednej z podlódzkich miejscowości. Jacek jest młodszy od siostry o 2 lata. Mimo dużego podobieństwa fizycznego, mają zupełnie różne charaktery. Jacek, jak twierdzi rodzina i znajomi – „wdał się w matkę”. Delikatny, wrażliwy, łagodny, pełen niemal macierzyńskiego ciepła. Do tego powolny i często niezdeterminowany. Agata natomiast przypomina zachowaniem ojca. Energiczna, pełna życia, nieustannie czymś zajęta lub w coś zaangażowana. Doskonała organizatorka, budząca respekt i zawsze zdecydowana.

Od najmłodszych lat oboje sprawiali trudności wychowawcze. Agata chodziła po drzewach, kradła jabłka w sadzie, nie chciała bawić się lalkami. Jacek chętniej przebywał w towarzystwie dziewcząt niż chłopców, nie lubił bawić się w wojnę. Rodzice nie mogli zaakceptować swoich dzieci takimi, jakie były. Ją – na siłę próbowali wtłoczyć w skórę przyszej zony i matki, jego – w skórę silnego mężczyzny, ojca rodziny. Ani on, ani ona nie pasowali do schematu według jakiego chcieli ich wychować. Ich indywidualne rysy z czasem pogłębiały się. Mimo wysiłku ze strony rodziców, nie udało się zmienić charakterów ani osobowości rodzeństwa. Agata na skutek presji otoczenia wyszła za mąż, ale nie mogąc zadowolić się wyłącznie rolą zony i matki, pozbawiona możliwości samorealizacji w pracy zawodowej, bądź działalności społecznej – już w rok po ślubie wdała się w romans z kolegą męża i rozwiodła. Jacek – podjął studia w Łodzi. Na skutek nieustannych uwag rodziców dotyczących jego „niemęskiego” zachowania, popadł w depresję. Przekonany o tym, że jest transseksualistą zgłosił się do psychologa.

Rocznie do placówek psychiatrycznych zgłasza się kilkanaście osób przekonanych o swym transseksualizmie, lecz tylko jedna okazuje się

rzeczywistym transseksualistą. Zjawisko, że skądinąd zupełnie „normalny” osobnik źle czuje się w swoim ciele, jest konsekwencją błędów wychowawczych opartych na mitach i przesądach powstałych w oparciu o sztuczny podział na cechy męskie i kobiece. Aby zapobiec tragicznym w skutkach pomyłkom, każdego potencjalnego transseksualistę poddaje się szczegółowym badaniom i testom. To smutne, ale „tepienie” w dzieciach ich indywidualności, zmuszanie do poddania się stereotypom obyczajowym i myślowym powoduje, że wiele osób popada w depresję, jest przekonana o swojej „nienormalności”.

Dziewczęta, którym konserwatywni rodzice wpajają przekonanie, iż „prawdziwa”, „normalna” kobieta marzy wyłącznie o mężu i dzieciach – w chwili, gdy odkrywają w sobie silne zainteresowanie jakąś „niekobiecą” dziedziną (np. wojskowością), a jednocześnie nie widzą siebie w roli matki – nabierają przekonania, że są transseksualistkami. Podobnie dzieje się z chłopcami, którzy wykazują postawę macierzyńską, nacechowaną biernością i niezdeterminowaniem. Ilekroć nieszczęście spada na jednostkę, która pod wpływem takiego przekonania decyduje się na zmianę płci, po to, by dużo później odkryć, że jako mężczyzna również mogła np. zajmować się dziećmi, a jako kobieta poświęcić się jakiejś „niekobiecej” działalności.

Już w 1935 r. znany amerykański socjolog i członkini organizacji „Women's Liberation” Margaret Mead pisała w swojej książce pt. „Sex and Temperament in Three Primitive Societies” o destrukcyjnej roli przesądów na temat cech męskich i żeńskich. Autorka podkreśla, że występujące powszechnie w społeczeństwie mity na temat pasywności i delikatności kobiet oraz aktywności i brutalności mężczyzn, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Delikatny i bierny mężczyzna jest tak samo często „spótykany”, jak „agresywna”, silna psychicz-

Łagodny mężczyzna przebojowa kobieta

nie i aktywna w pracy zawodowej kobieta. Podobnie dzieje się ze stosunkiem obu płci do dzieci. Kobieta, która nie chce mieć dzieci i niechętnie się nimi zajmuje jest tak samo normalna, jak kochający dzieci i pełen ojcowskiego (czy też „macierzyńskiego”) ciepła mężczyzna. Autorka podkreśla, że sztwyne zróżnicowania płciowe rodzą wiele dewiacji, cierpień i są przyczyną licznych tragedii w życiu osobistym. W swojej książce – omawiając problem stereotypów myślowych – posługuje się takim oto przykładem:

„Zalóżmy, że zamiast opierać podział na „naturalnej” podstawie płci czy rasy, społeczeństwo zwraca nagłe uwagę na kolor oczu i obwieszczą, że wszyscy ludzie niebieskoocy mają być delikatni, ulegli i wrażliwi na potrzeby innych, natomiast ciemnoocy – butni, dominujący, egoistyczni i zdecydowani. W kulturze, religii, sztuce, obyczajach takiego społeczeństwa pojawiłyby się nie jeden, lecz dwa komplementarne wątki. Istnieliby niebieskoocy mężczyźni i niebieskookie kobiety – tj. delikatni, „macierzyńscy” mężczyźni i delikatne, „macierzyńskie” kobiety.”

Autorka daje do zrozumienia, że tak jak kolor oczu z jakim się rodzimy nie jest od nas zależny, tak samo płeć w chwili narodzin, nie zależy od

naszego wyboru. Jednocześnie podkreśla, że zbrodnia jest zmieniać kogoś na siłę – nie po to, by ze złego człowieka zrobić dobrego – lecz po to, by mógł on sprostać jakimś nie mającym nic wspólnego z rzeczywistością mitom.

Kościół katolicki zdecydowanie sprzeciwia się zabiegom zmiany płci. Jeśli więc naprawdę chcemy, aby tych zabiegów nie było lub też chcemy ograniczyć ich liczbę – zastanówmy się nad słowami wspomnianego już amerykańskiego socjologa Margaret Mead:

„Zamiast zmuszać chłopców do walki, a dziewczynki do pasywności lub zmuszać do walki wszystkie dzieci, pozwólmy w naszych instytucjach rozwijać się w pełni chłopcom, w których widać zadatki na postawę macierzyńską, i dziewczynkom, w których widać zadatki na postawę przeciwną. Nie marnujmy żadnego uzdolnienia – żywej wyobraźni na równi z precyzją myślenia – dlatego tylko, że obdarzone nim dziecko jest tej, a nie innej płci. Nie wychajmy nikogo w jeden wzorzec, dopuśćmy wiele wzorców, by każdy mógł sobie znaleźć to, co najbardziej doń pasuje.”

Marta Tomicka

„Pół Łodzi, a w najlepszym wypadku kilka kamienic wyleci w powietrze”.

„Masz, skurwysynu, weź i nakarm moje dziecko, bo ja nie mam mu co dać jeść” – krzyczy mężczyzna z placem.

„Co mamy robić, czy mamy iść kraść?” – pyta inny.

W tym samym czasie, gdy w Łodzi upokorzono i zdesperowano mężczyzn z „Majedu” uderzają się z bezradną dyrekcją o pieniądze, w Warszawie trwają przepychanki o władzę. Nikt z jej uczestników nie wie, że Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych „Polmatex-Majed” jest bombą, której eksplozja może zniszczyć poczynań przyszłego rządu.

Od 14 października br. trwa w zakładach pogotowie strajkowe wywołane brakiem środków finansowych na wypłaty i odprawy dla zwolnio-

W lipcu nowo wybrana Rada Pracownicza odwołała dyrektora naczelnego. Oficjalnie zarzucano mu, że zakład przynosi straty. Nieoficjalnie mówi się, że zmiana na stołku dyrektorskim spowodowana była wojną między „Starym” a jego zastępcą ds. ekonomicznych, który to właśnie został nowym dyrektorem.

„Nowy” przedstawił swoją koncepcję wyjścia z trudnej sytuacji, która opierała się na szerokiej współpracy ze Związkiem Radzieckim. Była to zresztą kontynuacja tego, co robił jego poprzednik, ale rada konkursowa przyjęła to z pełną aprobata.

W tym samym czasie, gdy w „Majedzie” trwały rozstrzygnięcia na dyrektorskich stanowiskach, rząd Mazowieckiego ugadywał się ze Związ-

„W tej chwili przejadamy majątek „Majedu” – dodaje Zdzisław Szczepaniak. – Brak decyzji ze strony ministerstwa powoduje, że obecnie jesteśmy zadłużeni na około 60 mld złotych. Czy znajdują się pieniądze na wypłaty za październik i listopad?”

Od czerwca 700 osób zatrudnionych w „Majedzie” jest faktycznie bezrobotnych. W maszynach, które zalegają magazyny, jest zamrożonych 45 mld złotych, a zakład jest bez środków na wypłaty oraz uruchomienie jakiegokolwiek produkcji.

„Dyrekcja zbyt ślepo wierzyła w kontrakt ze Związkiem Radzieckim i nie szukała innych rozwiązań – ocenia wiceprzewodniczący „Solidarności”.

„Majed” przed wybuchem

nych pracowników i jednoczesnym brakiem jakiegokolwiek działań ze strony Ministerstwa Przemysłu i Handlu w sprawie dalszego funkcjonowania zakładu oraz odpowiedzi w sprawie likwidacji przedsiębiorstwa. Zniecierpliwieni i zdesperowani pracownicy „Majedu” – którzy w połowie listopada tylko dzięki porozumieniu zawartemu między Zarządem Regionu „Solidarność” a wojewodą łódzkim otrzymali z Funduszu Pomocy Opieki Społecznej wypłatę, a raczej jałmużnę za wrzesień – gotowi są na wszystko. Jak twierdzą, nie mają już nic do stracenia. Pracującym tu małżeństwom brakuje pieniędzy na jedzenie dla dzieci, a zaległa wypłata za październik ciągle stoi pod dużym znakiem zapytania.

Zakładowe związki zawodowe odwołują się do decyzji o rozpoczęciu strajku, mimo że mają na to pełną akceptację załogi. „Strajk mógłby spowodować wyzwolenie agresji – mówi przewodnicząca NSZZ „Solidarność” przy ŁFMI „Polmatex-Majed” Halina Wojtczak – a nam nie chodzi o wszczynanie niepokojów społecznych.”

„Setka nie sprzedanych do Korei maszyn, która stoi w naszych magazynach – dodaje wiceprzewodniczący NSZZ „Solidarność” Zbigniew Szczepaniak – można skutecznie zablokować wszystkie trasy wylotowe z Łodzi. Nie wiadomo tylko czym mogłoby się to skończyć.”

Jeszcze do drugiej połowy ubiegłego roku „Majed” prosperował dobrze. Zarobki były niskie, ale nikt nie bał się o pracę. Napływały zamówienia i zakład miał podpisany ze Związkiem Radzieckim duży dwuletni kontrakt na produkcję maszyn włókienniczych do Korei, który zaczął realizować. Kontrakt ten miał „wyżywić” całą – wówczas 1200-osobową – załogę.

kiem Radzieckim, czego rezultatem – nieszczęściem dla „Majedu”, jego dyrektora i w ogóle całego przemysłu łódzkiego – było przejście na rozliczenia dolarowe. Sprzedaż wg starych warunków kontraktowych stała się całkowicie nieopłacalna.

Przy wzroście kosztów trzeba byłoby sprzedawać je 21 razy taniej, co oznacza, że oddając maszyny na złom, „Majed” zrobiłby na nich znacznie lepszy interes. Ponieważ jednak dyrekcja widziała szansę wynegocjowania nowych cen i ułożenia się z koreańskim partnerem, produkcja maszyn szła pełną parą aż do maja, kiedy to ostatecznie okazało się, że Koreańczycy przynajmniej na razie naszych maszyn nie chcą.

W czerwcu zarządzone zostały odprawy dla pracowników. W lipcu wszystkich wysłano na urlopy, natomiast do Ministerstwa Przemysłu (zgodnie z uchwałą Rady Pracowniczej) skierowano pismo z wnioskiem o wszczęcie postępowania likwidacyjnego. Dyrekcja rozjechała się w poszukiwaniu pieniędzy na wypłaty, zostawiając załogę, która na decyzję z ministerstwa czeka już piątą miesiąc. Wprawdzie tu i tam pojawiają się sygnały, że Warszawa podjęła już decyzję w sprawie dalszych losów „Majedu”, oficjalnie jednak nie ma żadnego dokumentu.

6 listopada dyrekcja wysłała telex do ministra Henryki Bochniarz z prośbą o interwencję. Jeśli nie będzie żadnej reakcji, pracownikom pozostanie odlać metrowy klucz z napisem „Majed” i wręczyć go pani minister z karteczką „to jest klucz do „Majedu”.

„Mam już dość – mówi dyrektor Włodzisław Szewczyk – pracownicy, rozmawiając ze mną, łapią za tomy i chcą mnie bić”.

„Gdyby nie pieniądze z Funduszu Pomocy Opieki Społecznej – mówi Halina Wojtczak – to ludzie dawno wyszliby na ulice.”

Beata Kostrzewska

Znow, jak przed laty, prywatna Łódź zaopatruje Rosję

Boczna uliczka w jednej ze starych łódzkich dzielnic. Wieczorem przed niepozornym domkiem jednorodzinny zatrzymuje się dostawczy żuk. Dwaj mężczyźni otwierają bramę i furgonetka wjeżdża na nieoświetlone podwórko. Po chwili otwierają się drzwi budynku gospodarczego. Samochód staje tak, aby nie było widać z ulicy jak szofer i jego dwaj pomocnicy wyładowują z auta długie, dwudziestokilogramowe zwoje materiału. Bele bistoru, po wniesieniu ich do wnętrza budynku, zostają starannie ustawione i wypełniają prawie całą powierzchnię zaimprovizowanego magazynu. Mija kwadrans i żuk już opuszcza posesję. Za chwilę na jej teren wpuszczony zostaje polonez. Tym razem kilka belek dzianiny przebywa drogę z pomieszczenia do bagażnika. W niedługich odstępach czasu pojawia się kilka innych samochodów. Procedura się powtarza. Kierowca każdego wozu odjeżdża ze swoim przydziałem materiału. Przydział jest wprost proporcjonalny do wkładu finansowego wniesionego przez odbiorcę.

Jako jeden z ostatnich odjeżdża swoim fiatem Andrzej Mokry (chemik, rencista), uwożąc siedem belek cennego surowca. Zmierzda do willi teścia. Pardon, byłego teścia, bo Andrzej wziął fikcyjny rozwód, aby otrzymać przydział na drugie mieszkanie. Od przybytku głowa nie boli.

W willi czeka już na Andrzeja szwagier i zarazem pracownik, Jerzy Bartzak (historyk sztuki na długotrwałym zwolnieniu lekarskim). Obaj panowie wnoszą bistor do dużego garażu-przybudówki. Wnoszą przez sień budynku, nie przez wrota garażu. Gdyby bowiem otworzyć wrota, ukazałby się z nimi mur. Przybudówka nie jest garażem lecz zamaskowanym warsztatem. Wewnątrz, obok wielkiego stołu do krojenia materiału stoi metalowe monstrum. To elektryczna maszyna do plisowania – owoc myśli technicznej polskiego rzemiosła. Ponieważ zera dużo prądu podłączona jest sprytnie do sieci z pominięciem licznika.

Andrzej umie liczyć. Właśnie skarży się Jurkowi, że cena dzianiny znowu podskoczyła. Podobno szef całego przedsięwzięcia, niejaki „Chudy”, musi wydawać więcej z zera. Po likwidacji „Bistony” w pozostałych fabrykach, produkujących jeszcze bistor, biorą po prostu większe łapówki. Ale to nie „Chudy” je wręcza. Towar kupują podstawienu lu-

Bistor niezupełnie fakturowany

dzie, przeważnie właściciele istniejących tylko na papierze firm. Dzisiaj surowiec dostarczono z „Teofilowa”.

Pomimo późnej pory Andrzej i Jurek biorą się do pracy. Czas to pieniądź. Gdy o szyby uderza świt, na stole leży kilkadziesiąt warstw zlagowanego materiału. Niepotrzebne już tytuły zostają wrzucone do pieca. Teraz Jurek przykłada szablon i według nich rozrysowuje poszczególne elementy sukienki. Następny etap to krojenie. Andrzej włacza elektryczny pionowy nóż i prowadzi go po zaznaczonych liniach. Sukienki zostały skrojone. Teraz spódnica każdej z nich musi zostać poddana procesowi plisowania. Trwa to wiele godzin. W południe Andrzej pakuje w paczki przody sukienek i wiezie je do nadruku. Ozdobny wzór sitodrukowy wykonuje w swoim mieszkaniu Paweł (student na urlopie dziekańskim). Następnego dnia rano sam przywozi swoje dzieło. Teraz Andrzej pakuje w cztery worki wszystkie części sukienek. Jeden wórz zawozi do pani Moniki, pracującej na czarno szwaczki, która zszywa sukienki overlockiem, należącym do „Chudego”. Pozostałe trzy worki wędrują do zaprzyjaźnionego zakładu „Krawiectwo lekkie i bielizniarstwo”, zatrudniającego dwie szwaczki. Oficjalnie zakład szyje koszule, jednak w dzisiejszych czasach trudno o zbyt. Zarobki już nie takie jak za komuny, chociaż w dalszym ciągu towary do sklepów podstawia się na stare, zanizone rachunki. Aby więc wyjść na swoje warsztat szyje po cichu kiecki dla „Chudego”. Robi się to na poddaszu, którego teoretycznie nie ma, chociaż praktycznie przy overlockach spędzają tam pracownice czas trzy panie. Jedną z nich jest na urlopie macierzyńskim, dwie na wychowawczym. Po upływie 24 godzin od zwiezienia półfabrykatów Andrzej przyjeżdża po gotowe sukienki. Zapakowane w worki wracają do willi byłego teścia.

Tutaj Andrzej z Jurkiem pakują je w paczki po 10 sztuk. Gdy kończą, telefonują po transport. Nie mają pół godziny i zjawia się osobiście „Chudy” swoim furdem transitem. Mówi, żeby się spieszyć, bo klienci już czekają. Gdy Jerzy wrzuca paczki do furgonu „Chudy” wypłaca Andrzejowi należność i umawia się na następny raz. „Chudy” wsiada do wozu i rusza, aby odebrać sukienki od innych kooperantów. Wykonuje kilka rund po mieście, dopóki jego magazyn nie jest pełen. Magazynem jest trzy-pokojowe mieszkanie, wynajęte od „czasowo przebywającego za granicą” na nazwisko chcącego dorobić studenta. Gdy zapada zmrok, przed blokiem mieszczącym magazyn, pojawiają się samochody z tablicami rejestracyjnymi wschodnich województw; przeważa Białystok.

„Chudy” nie obawia się ciekawskich sąsiadów. Niedaleko stąd prowadzi zarejestrowany zakład rzemieślniczy, w którym zatrudnia kilku pracowników, wyróżniających się słuszną posturą i reputacją oparyszków. Załadowane samochody opuszczają polski Manchester i kierują się na wschód. Za Wisłą, na rynkach i bazarach, czekają już Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy. Obładowani ciężkimi paczkami przekroczą granicę, za którą czeka na towar mrowie niewiast. Znowu więc, jak przed laty, Łódź wysyła tani przyodziewek, odpowiadając na wezwanie wygłodniałego rynku Imperium. Wszak na handlu z Rosją bogacić się mają Łódź i Rzeczpospolita.

Andrzej Mokry ma chwilę czasu dla siebie. Idzie do apteki zrealizować bezpłatne (rencista!) recepty. Kazali zapłacić 100%, bo podobno w budżecie są jakieś dziury. Andrzej czuje się oszukany.

Jerzy Radwan

P.S. Dane bohaterów reportażu zostały zmienione.

Na nogi trzeba poczekać

cd. ze str. 5

– No to przecież trzeba próbować coś zrobić!
– A pani myśli, że nie próbuje? Przecież kiedyś Łódź słynęła z tego, że mieliśmy najlepsze tzw. natchmiastowe zaopatrzenie ortopedyczne, czyli w bardzo szybkim tempie chory otrzymywał oprzyrządowanie, które było mu niezbędne. A teraz to wszystko runęło i uważam to za swoją osobistą klęskę. Chciałem temu zaradzić i miałem nadzieję, że się uda. Wywalczyłem budynek obok, gdzie miałem zamiar uruchomić produkcję sprzętu, przede wszystkim właśnie gorsetów, obuwia. Budynek dostałem niemal od razu, ale co z tego, skoro nie został zaadaptowany do tego celu. A nie został, bo Szpital im. Kopernika nie ma pieniędzy. Ledwie wysypała na ukończenie dokumentacji. Kiedy zacznie się adaptacja diabli wiedzą, wiadomo natomiast, że potrwa co najmniej rok, jak nie dwa lata. Ba, ja już nawet – niepoprawny optymista – kupiłem półfabrykaty. Teraz leżą w magazynie, a mnie się za to zmywa głowę. Technologicznie też jesteśmy przygotowani do rozpoczęcia takiej produkcji, bo wyprosiłem u wszelkich władz, służby zdrowia i oświaty, uruchomienie wydziału biomechaniki w jednym z łódzkich Medycznych Studiów Zawodowych. Ale... wydział obecnie zawieszono, zaś ośmiu absolwentów, którzy zdążyli go ukończyć, szuka pracy. Jedną dziewczyną jest kelnierką, trzy są na zasiłkach dla bezrobotnych. Serce mnie boli, jak sobie pomyślę, ile sprzętu dla chorych oni by mogli wyprodukować, gdyby mieli gdzie. Bo w dotychczasowym lokum i przy dotychczasowym zatrudnieniu możemy zrobić 1-2 gorsety na miesiąc.

– Ale przecież nad poradnią mieści się oddział Warszawskich Zakładów Sprzętu Ortopedycznego, czy on was nie może poratować?

– Może i ratuje od dawna, wytwarza buty, różnego rodzaju drobny sprzęt, sznurówki, ale ja przecież teraz nie mogę niczego u nich zamawiać, skoro nie mam z czego zapłacić. A oni z kolei nie mają co robić, więc tydzień pracują, a potem mają kilka dni planowanej przerwy, ludzie nie dostają za ten okres pensji. Efekt jest taki, że ja nie mam potrzebnego sprzętu, a zakład robi kłapę. I nic nie wskazuje na to, żeby się to miało niedługo zmienić, bo już mi powiedziano, że nie mam się co spodziewać szybko pieniędzy.

– Kiedyś planowano budowę w Łodzi zakładów ortopedycznych z prawdziwego zdarzenia, żebyśmy się mogli uniezależnić od innych wytwórców. Była nawet lokalizacja...

– A owszem, mówi się o tym od lat. Od tej pory już zdążyłem posiwieć. Lokalizacja była, projekt co gdzie będzie – też. I guzik. Nie ma pieniędzy na inwestycje. Dawno mi już powiedziano, że mam sobie ten pomysł wybić z głowy. Tak, jakbym to ja dla siebie chciał tych zakładów. Przecież ich potrzebują chorzy! Inwalidów wciąż przybywa, a w naszym kraju udajemy, że tego nie widzimy. Fakt, że nie widzimy, bo ludzie niepełnosprawni siedzą w domu, właśnie dlatego, że nie mają protez, kul, wózków inwalidzkich. Mnie się włos na głowie jeży, jak pomyślę, co będzie dalej. Nasza poradnia ma za zadanie zaopatrywać pacjentów z czterech województw: łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego. Zobowiązani jesteśmy także do zaopatrywania wszystkich chorych leczonych w łódzkich szpitalach, bez względu na to, gdzie mieszkają. A mamy przecież Ośrodek Onkologii, specjalistyczne kliniki, w których leczeni są ludzie z różnych regionów kraju, praktycznie z całej Polski. Proponowałem dyrekcji, żeby wynegocjowała od sąsiednich województw, na rzecz których pracujemy, pieniądze, etaty. Nic z tego nie wyszło. Dochodzi do absurdów. Dostaję z województw ościennych pisma zabraniające mi przydzielania chorym jakiegokolwiek sprzętu bez akceptacji tamtejszych władz służby zdrowia!

– No i co pan robi?

– Co? Łamię przepisy. Jak ja, lekarz, mam odesłać na przykład pacjenta ze złamaniem kręgosłupa do domu bez gorsetu, żeby sobie najpierw papierki pozalał? Żeby mi umarł w drodze? Nakazano mi ograniczać wydawanie obuwia ortopedycznego wyłącznie do niezbędnych przypadków. Pacjent musi więc mieć straszne nogi, żeby takie buty otrzymać. Ci, którzy mają „tylko” piaskostopie, albo koślawe paluchy, nie mają żadnych szans. Mnie się chwali za zastrzeżenie kryteriów przyznawania obuwia, a ja wiem, że to niezgodne z przepisami. Piszę w kółko notatki służbowe do dyrekcji, plik pisemek rośnie, a ja się zastanawiam, kiedy mnie pacjenci obją. Albo kiedy mnie wsadzą do kicia za łamanie przepisów. Tylko kto mi wtedy będzie paczki żywnościowe przynosił?

– Ja, panie doktorze!

Rozmawiała:
Hanna Jaskiewicz

Teatr uliczny jest w Polsce zjawiskiem zasadniczo mało znanym, z oczywistą szkodą dla publiczności. Co prawda od wielu lat funkcjonuje w Jeleniej Górze Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych, jednak w zamysle organizatorów miało to być kolejną wieś potiomkinowska polskiej kultury, zbudowana dla Zachodu. Władze niezbyt chętnie patrzyły na takie produkcje artystyczne, które mogły wymknąć się czujnemu oku cenzury. Nie inaczej rzecz się miała w naszym włókienniczym grodzie.

Jakby na przekór oficjalnym trendom 5 grudnia 1985 r. grupa zapaleńców z osiedla akademickiego Politechniki Łódzkiej powołała do życia zespół **Studenckiego Teatru Ulicznego**. Opiekę merytoryczną podjęły się, zatrudnione w DDK Łódź-Górna, instruktorki teatralne Maria Pawlicka i Elżbieta Pietruszka. Teatr liczył wówczas 57 członków. Pierwszy planowany występ się nie odbył. Miała być to akcja uliczna „Witamy Cię człowieku”, mająca na celu przywitanie anonimowego pasażera MPK jak kogoś bliskiego.

Do przeprowadzenia tej akcji trzeba było uzyskać zezwolenia z 12 instytucji (w tym Wydziału Drog i Mostów). 11 instytucji dało swój placet; zgody nie

27.04.1987 r. za niemożność zaspokojenia aspiracji urzędników zespół został ukarany oficjalnym rozwiązaniem, zaś jego opiekunka, Elżbieta Pietruszka otrzymała wypowiedzenie z pracy. Wskutek zdecydowanej postawy uczestników Teatru Ulicznego i na ich prośbę Elżbieta Pietruszka odwołała się do sądu i po czteromiesięcznym procesie została przywrócona do pracy. W trakcie przewodu sądowego zespół, któremu uniemożliwiono korzystanie z Domu Kultury wynajęła za własne pieniądze mieszkanie na sale prób, pracownię i magazyn. W tym okresie (również na własny koszt) teatr wziął udział w V Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze, czego efektem było zaproszenie na Międzynarodowy Festiwal Sztuki Niezależnej, do Berlina Zachodniego, organizowany przez Trans Europe Halles. Zaproszeni zostali również przez Międzynarodowe Centrum Teatru Ulicznego w Paryżu do udziału w obchodach 200 rocznicy Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Wyjazd do Berlina nie doszedł do skutku, gdyż Ministerstwo Kultury i Sztuki stwierdziło, że „rząd PRL nie utrzymuje kontaktów kulturalnych z rządem Berlina Zachodniego”. W imprezie paryskiej nie wzięli udziału ze względu na brak pieniędzy, gdyż

Teatr na bruku

wyraził Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, w piśmie sygnowanym przez mgr. Marka Samborskiego. W odmowie pan Samborski napisał, że „proponując organizację tego typu imprezy artystycznej winna być brana pod uwagę przy okazji realizacji zamierzeń programowych o poszerzonym profilu programowym”. Zapytany o sens odpowiedzi sygnatariusz cytowanego pisma wyjaśnił, iż zespół może brać tylko udział w festynach i imprezach masowych, organizowanych pod patronatem takich organizacji społeczno-politycznych jak PZPR, SZMP czy ZSP. Może to mieć miejsce z okazji świąt typu 1 Maja, 9 Maja, 22 Lipca na zaproszenie ww. organizacji.

Ponieważ widowisko planowane było na ideologicznie niyaki dzień 18.04.1986 r. i bez patronatu zaśluzonych organizacji, na miejscu planowanej akcji miast potencjalnych widzów czekały na aktorów radioowo. Niewątpliwym sukcesem akcji było zaproszenie Elżbiety Pietruszki do WUSW przy ul. Lutomierskiej na kawę. Napój, ufundowany przez SB, serwowany był przez panią inspektora Promińska, która wykazywała wielkie zainteresowanie działalnością grupy. Zaproszona jednak do współudziału w happeningach, nie wiedzieć czemu, odmówiła.

Drugi zaplanowany występ Teatru Ulicznego przy DDK Łódź-Górna również się nie odbył z powodu jak wyżej. Tłumaczenia artystów, że polityka ich nie interesuje i chcą jedynie zaistnieć artystycznie w szarej codzienności proletariackiego miasta nie trafiły do przekonania. Tak więc zespół od samego startu został pozbawiony swobody tworzenia i prezentacji swych dokonań.

Od tej pory Teatr Uliczny w swoim nurcie pracy oficjalnej, poddając się nakazowi dyrekcji DDK prezentował się na imprezach studenckich, przeglądach i różnych festiwalach. W drugim nurcie swej działalności, najistotniejszym, prowadzonym bez zgody i wiedzy dyrekcji, tworzył zdarzenia i akcje właściwe tego typu teatrowi. Uparcie jednak usilowo sprawdzać zespół do roli „części artystycznej” imprez propagandowych, mających podkreślać zasługi urzędników kultury wobec władzy.

Taka niezdrowa sytuacja zmusiła niejako „uliczników” do działań nielegalnych, tzn. poza obiegami oficjalnej kultury, co zwiększało ilość wypijanych przy ul. Lutomierskiej kaw. Dyrekcja DDK (było nie było – mecenas teatru) obowiązywała do brania udziału w licznych imprezach o charakterze „kulturalnego współzawodnictwa socjalistycznego pracy amatorskiej”. Teatr Uliczny, który z założenia miał wchodzić w życie codzienne miasta i w tym upatrywał sensu swego istnienia, niechętnie brał udział w przedsięwzięciach typu przeglądy czy konkursy, polegających na ściganiu się w amatorskim czy miłośniczym. Nie widzieli sensu oceniania stopnia miłośności do sztuki przez urzędników, nie zawsze będących jej znanymi. Ogólnym założeniem pracy zespołu był swobodny rozwój jego członków i ich twórczość oraz dzielenie się nią i prowokowanie do niej przypadkowego widza a nie urabianie go, charakterystyczne dla socjalizmu. Teatr został powołany przede wszystkim dla tych odbiorców, którzy nie chodzą na spektakle tradycyjnego typu.

Widziane z parteru

Nie stój? Nie czekaj... Wreszcie i w łódzkiej kulturze przyspieszenie! Składnica surowców wtórnych i Zakłady Przemysłu Welnianego im. 9 Maja odstąpiły po cenie złomu trochę rupieci. Ogród zoologiczny pożyczyl węża wraz z akwarium. Zaś jedna właścicielka sklepu z Krakowa udościłnia kostiumy i rekwizyty. I tak, dzięki wsparciu rodzimego kapitału doczekaliśmy się na scenie Teatru Powszechnego Broadwayu po polsku. Zwirowanej komedynie o perypetiach zwirowanej rodziny nadano dość przewrotny w tej sytuacji tytuł: „Forsa to nie wszystko”. Na scenie było kilka zabawnych pomysłów inscenizatorskich oraz zgrabnych ról i rólerek, za oknem zaś w czasie przerwy puszczano sztuczne ognie. Rokuje, iż publika będzie na to chodzić, bo jakby powiedział Pascal: „Każdy ma taki teatr, na jaki zasłużył”. I o to chodzi.

Na koniec pewna refleksja, której, co wrażliwym radzę nie czytać. Przed kilkunastu laty w

mimo przywrócenia do pracy Elżbiety Pietruszki zespół nie miał już możliwości korzystania z mecenatu DDK. Odmawiano teatrowi korzystania z kasy, sprzętu i pomieszczeń. Wokół zespołu powstała niemiła aura i czekali na okazję, aby się go pozbyć. Od 1987 r. z lokalu DDK korzystano tylko w stopniu minimalnym. Próby odbywały się w mieszkaniach, klubach studenckich, parkach, kawiarniach i... na dworcach. W maju 1988 r. zespół wziął udział w XIII Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Lalek w Bielsku-Białej, jako pierwszy teatr uliczny (w dodatku pierwszy nieprofesjonalny teatr z krajów socjalistycznych) zaproszony do udziału w tej imprezie.

Zaproszenia zagraniczne i występy w innych miastach nie zmieniły pryncypialnej postawy dyrekcji Domu Kultury. Teatr Uliczny miał zakaz jakichkolwiek występów na deskach DDK Łódź-Górna, podobno z powodów ekonomicznych. Z odmową spotkała się propozycja wspólnych występów Teatru Ulicznego z Teatrem Nenagh Watson z Manchesteru. Propozycję tę złożył teatr angielski, któremu koszty pobytu w Łodzi miał częściowo pokryć British Council. Być może teatr Nenagh Watson, który brał udział w kilkunastu imprezach światowego formatu i miał wspólne realizacje m.in. z Philipem Genty i Tadeuszem Kantorem reprezentuje zbyt niski poziom, jak na wymagania DDK Łódź-Górna? Legły w gruzach polsko-angielskie rojenia o stworzeniu w Łodzi Teatru Międzynarodowego. Inicjatywę podjął Berlin.

W Łodzi nie ma już Teatru Ulicznego przy DDK Łódź-Górna. Przetwał komunę, ale przewrócił się w gospodarce rynkowej.

W sentencji wyroku sądowego z powództwa Elżbiety Pietruszki przeciwko DDK Łódź-Górna o przywrócenie do pracy (powództwo oddalono) czytamy m.in.: „Zwolnienie pracownika na podstawie ustawy z 28.12.1989 r. (...) jest uzasadnione jeśli następuje na skutek zaistnienia jednej z przyczyn określonych w art. 1 tej ustawy. Przyczyną taką jest m.in. sytuacja ekonomiczna zakładu pracy zmuszająca do zmniejszenia zatrudnienia. (...) Nastąpiła konieczność przeprofilowania działalności w taki sposób, by każda z form artystycznych prowadzonych przez Dom Kultury choć w części była w stanie „zarobić na siebie”, a jednocześnie by były to formy pożądane z punktu widzenia potrzeb społecznych, by odpowiadały gustom szerszej publiczności – co zapewniło widzów (...) takim wymaganiom Teatr Uliczny nie sprostował (...) program teatru miał bowiem charakter eksperymentalny i był niezrozumiały dla szerszego kręgu odbiorców. (...)”

Twórcza Grupa Użyteczna Mistrza N (taką nazwę nosi teraz teatr) nie dała za wygraną. Od listopada ubiegłego roku, na przekór opiniom o nierentowności i niezrozumiałości, zarabiają, występując na ulicach. Tego lata grał dla przechodniów Brukseli, Antwerp, Monachium, Hamburga i Berlina. Nie porzucili myśli o ubarwieniu Piotrkowskiej teatrem międzynarodowym. W czasie występów towarzyszy im napis: „I Ty możesz zostać sponsorem teatru ulicznego”.

Mają nadzieję, że w ponadmilionowej aglomeracji ich apel nie pozostanie bez echa.

Klubie Dziennikarza (było kiedyś coś takiego w Łodzi) jeden z wielkich polskiego teatru rozpoczął spotkanie z wypełnioną szalenie słuchaczami salą stwierdzeniem: „Polityka kulturalna państwa to jest suchy brandel!”.

Fajerwerki

Było to za starego reżimu, dziś mamy fajerwerki. I na tym kończę, gdyż „Odgłosy” płacą marnie, a nie jestem – tak jak kultura polska – sponsorowany.

J.B.

Moss Hart, Georg Kaufman: „Forsa to nie wszystko”. Reżyseria i choreografia: Marek Sikora. Scenografia: Joanna Braun. Premiera: Teatr Powszechny w Łodzi, 9 listopada 1991 r.

30 pytań do...



ROMAN ROGOWIECKI – zastępca redaktora naczelnego „Magazynu Muzycznego”, stały współpracownik „Metal Hammera”; dziennikarz radiowy i telewizyjny („Caly ten rock”, „Muzyczna Jedynka”, „Panorama Dnia”). Tłumacz filmów i pilot gwiazd odwiedzających Polskę i Związek Radziecki (ostatnio Metallica, Deep Purple, Chris Rea, Ian Gillan, Smokie).

Stan cywilny: Żonaty, bezdzietny.

Wyuczony zawód: Anglista.

Zwierzęta domowe: Chciałbym mieć psa.

Samochód: Kupuję.

Ulubiona potrawa i napój: Mam wiele ulubionych potraw, ponieważ lubię dużo i dobrze zjeść. Napój – Irn brew – nie do dostania w Polsce.

Kolor: Pogodny.

Hobby: Pracowanie i spanie.

Zalety: Jestem wesoly.

Wady: Bezcelność.

Bronisława Wajs była pierwszym świadomym poetą cygańskim w Polsce. Nazywali ją Cyganie imieniem, którym podpisywała swoje listy i wiersze – **Papusza**, po cygańsku „Jalka”.

Z pamiętnika Papisy: „Bardzo chciałem się uczyć, ale rodzice nie dbali o mnie. Ojczym był pijak, w karty grał, matka nie miała pojęcia co nauka i czy trzeba, czy nie to dziecko uczyć. Prosiłam dzieci, co chodzą do szkoły, żeby mi pokazały jakie parę liter. Potem coś ukradłam i nosiłam im, żeby

Papusza

mnie uczono. Blisko nas mieszkała Żydówka – sklepikarka. Łapałam kury i jej dawałam, i ona nauczyła czytać. Jestem z tej nauki dumna, pomimo że nie jestem uczona w szkołach, ale sama przez się i przez swoje życie, com przeszła.”

Papusza nauczyła się czytać i pisać wbrew oporom i gwałtownym sprzeciwom całego jej otoczenia. Awansowała w ten sposób ze zwykłej niepiśmiennej cygańskiej wróżki na poetkę zapisującą swoje utwory. Odkrył Papisę i wydobył na światło dzienne Jerzy Ficowski, znawca tematyki cygańskiej i krytyk literacki.

Papusza: „Myśmy jeździli po lasach, jak zwyczajnie Cyganie laborami i grywaliśmy, a pan przyjechał do nas i kazał sobie śpiewać piosenki. Myśmy tak koło ogniska wieczorem usiedli i każda śpiewała piosenki, co umiała. Wypili sobie troszeczkę no wszystko pod humorkiem i ja zaśpiewałam tę piosenkę. On mówi: „Pani nie śpiewa tylko wiersz mówi”. Ficowski wspominał później, że przedstawiono mu ją wówczas słowami: „a to jest Papisza, która śpiewa pieśni”. Ale ona wtedy jeszcze nie chciała mu zaśpiewać. Powiedziała, że pieśni i piosenki nie śpiewa dla ludzi, tylko dla siebie. Ze czasem idzie do lasu i sobie śpiewa, a czasem śpiewa jak jest wśród swoich, a na pokaz i dla słuchaczy piosenek nie ma.

Uręczony talentem Papisy Ficowski namówił ją wkrótce do spisywania wierszy-pieśni, które układała. Pozyskał jej przyjaźni i zaufanie. Nawiazali korespondencję. Pierwsze teksty przychodziły pocztą. Na kopercie imię Jerzy zawsze było pisane przez „2”. Bardzo brudne, nieczytelne rękopisy, w których lykła całe sylaby, opuszczała słowa. Ficowski stał się dla niej jedyną osobą, z którą mogła podzielić się swoimi myślami. Ucząc się czytać i pisać, wbrew protestom rodziny, dokonała Papisza wyłomu w odwiecznych obyczajach. Cyganie jej twórczość traktowali jako objaw choroby psychicznej. Wielu odsunęło się od niej.

Papusza rozpoczęła świadomą twórczość w przełomowym dla Cyganów polskich czasie, w latach masowego przymusowego osiedlenia wielowiekowych koczowniców, w czasie ich wielkiego dramatu. Napisała kilka wierszy aprobujących akcję osiedleńczą, ale były to jej najsłabsze wiersze, gdyż pisała je wbrew sobie. Sama osiedliła się zimą 1950 r.

Traf chciał, że w tym czasie w „Problemach” ukazał się wywiad Juliana Tuwima z Jerzym Ficowskim na temat polskich Cyganów uzupełniony wierszami Papisy. Na bordowej okładce miesięcznika z końca 1950 roku jest fotografia dłoni, na której leży mała ryba. Zdjęcie to odnosiło się do zamieszczonego w środku artykułu na temat połowów. Dla Pa-

Największy życiowy sukces: To, że znalazłem kobietę swego życia.

Największa życiowa porażka: Ze spotkałem ją tak późno.

Co cię najbardziej śmieszy: Oglądanie telewizji.

Co cię najbardziej denerwuje: Że ludzie nie mądrzeją, tylko głupieją coraz bardziej.

Gdzie chciałbyś spędzić urlop: Na Majorce.

Marzenia: Nie potrzebuje.

Osoba, którą najbardziej zawdzięczasz: Józef Balcerak, zmarły niedawno założyciel i redaktor naczelnicy miesięcznika „Jazz”.

Postać, którą podziwiasz: Wielu normalnych i sympatycznych ludzi, którzy uśmiechają się na co dzień, dobrze jeżdżą samochodem i nie potracają innych.

Ideal kobiety: Moja żona.

Ulubione programy TV lub radiowe: Nie mam ulubionych programów telewizyjnych, a w radiu słucham tych audycji, gdzie jest dużo dobrej muzyki i mało słów.

Najchętniej czytane tytuły prasowe: „Film”, „Gazeta Wyborcza” i wszystkie pisma muzyczne.

Ulubieni pisarze: Truman Capote i Richard Brautigan.

Ostatnio przeczytana książka: „The Russia House” Johna Le Carre – w oryginale.

Ulubieni aktorzy: Zbigniew Cybulski i Zbyszek Zamachowski.

Ulubione filmy: „Bonnie and Clyde” Arthura Penna, „Lot nad kukułczym gniazdem” Milosa Formana i „Popiół i diament” Andrzeja Wajdy.

Ostatnio obejrzany film: „Backdraft”. Fantastyczny.

Preferowany rodzaj muzyki: Każda dobra.

Ulubieni wykonawcy: Właściwie każdy wykonawca ma szansę zdobyć moją sympatię – bez względu na nazwisko – jeżeli tylko nagra dobrą płytę.

Obejrzany koncert nr 1: ZZ Top albo Guns N’Roses w Londynie.

Zdecydowanie nie słuchasz: Zaawansowanego loft jazzu oraz country, bo mnie nuży.

Dewiza życiowa: Pracować, uśmiechać się i iść do celu.

Pytał:

Andrzej Woszczyk

puszy i innych Cyganów okładka ta nabrała znaczenia symbolicznego. Ryba wyjęta z wody i trzymana w dłoni, to ryba uwieczniona, schwytana... Mówili Cyganie, że Papisza sprzedawała się politycznie, że sprzedawała nie tylko swoje piosenki, ale także całą tajemnicę cygańską.

Syn Papisy pamięta jak przyjechali do nich do Żagania wysłannicy taborów. Jakby jakieś poselstwo. Przyjechali z pretensją, że Papisza opowiada o takich sprawach, które nie powinny wychodzić na światło dzienne. Grozili. Papisza bała się i wkrótce



wyjechała do Wrocławia.

Po pewnym czasie zamieszanie wokół Papisy uciicho. Wróciła do Żagania. Nadal utrzymywała kontakty z Ficowskim i Tuwimem. Spokój nie trwał jednak długo. W 1953 roku Ficowski opublikował w książce „Cyganie polscy” całą wiedzę jaką zebrał na ich temat. Autor kwitując to krótko: „Zrobiłem to, co zrobiłem i jakąś część współodpowiedzialności za los Papisy ponoszę”.

Ficowski świadomie przedstawił Papisę w swojej książce jako propagatorkę akcji osiedleńczej. Mało tego, tłumacząc cygańskie teksty jej piosenek zamieszczał na końcu książki mały wybiórczy słowniczek cygańsko-polski. Zrozpaczona kobieta uznała, że ta książka „rzucano na nią nienawiść”. Mówiła, że gdyby miała tyle pieniędzy, to by wykupiła te wszystkie książki i spaliła, bo przez nie niedobrze się czuje wśród Cyganów. Już niemal szalona, na dzień rozpaczy napisała do Związku Literatów, żeby książkę Ficowskiego wycofać ze sprzedaży, bo ta książka gubi Cyganów właśnie przez ten słowniczek – „bo teraz każdy będzie mógł wiedzieć co znaczy cygańskie słowo”. Odrzucona i wykleta, Papisza zatamowała się psychicznie, przestała pisać, zniszczyła większość swoich rękopisów.

Wspomina syn Papisy: „W końcu ojciec zawiadził ją do lekarza. Stwierdzono, że to na tle pisania dostała jakieś coś z umysłem. No i skierowano ją do szpitala psychiatrycznego w Lublińcu, w którym przebywała chyba 8 miesięcy. Po tym okresie jakby troszeczkę wróciła do zdrowia, ale już ten umysł nie pracował tak jak poprzednio. Nie mogła znieść odizolowania od środowiska cygańskiego. Cyganie omijali ją z daleka, odwracali głowy, pluli w jej stronę. A ona potrzebowała bycia z Cyganami, była prawdziwym duchem Cyganów. Takie wyklęcie, wyobcowanie było gorsze dla niej od fizycznego cierpienia i to ją nurtowało i to ją dobijało. I w końcu organizm nie wytrzymał...”

Marzanna Zielińska

Podśluchane podpatrzone odnotowane



Rozmazany romantyk...

Zmarł ROMAN WILHELM, jeden z najlepszych aktorów polskiego kina, telewizji, teatru. Nie udzielał wywiadów, nie dlatego, że nie lubił mówić o sobie, lecz dlatego, że nie umiał tego robić i bał się wypaść źle. Pochodził z Poznania, szkołę teatralną ukończył w Warszawie i po dyplomie związał się z teatrami warszawskimi („Ateneum”, „Nowy”).

Uważał się za aktora z powołania, zawsze chciał nim być. Był bardzo dobrym studentem, miał świetne warsztaty aktorskie w przedstawieniach „Tramwaj zwany pożądaniem”, „Mazepa”, ale na początku pracy w teatrze grał Przechodnia II, Milicjanta I... Rola Olgierda w serialu „Cztery pancerni i pies” spowodowała, że jego twarz wszyscy rozpoznawali, ale nie przyniosła żadnych nowych propozycji filmowych. Dopiero reż. Maciej Prus uwierzył w jego możliwości i obsadził w roli Peer Gynta. Wypadł wspaniale i od tego czasu grał bardzo dużo, jak mało który z polskich aktorów.

Jego teatralną pozycję umocniła rola w sztuce „Lot nad kukulczym gniazdem” – zastąpił Wojciecha Pszoniaka i okazał się lepszy. Po filmie „Cma”, a także „Wojnie światów”, a szczególnie „Karierze Nikodema Dyzmy” stał się symbolem męskości w polskim filmie. Prywatnie wcale nim nie był i przyznał się do tego w bodajże jedynym wywiadzie, jakiego udzielił:

„Jestem bardzo słaby. Jeśli udaje mi się dobrze zagrać silnego faceta, to dlatego, że jest to moje głębokie marzenie. Ale niestety – nie jestem taki. Mówię prawdę. Powiedzieliby to z pewnością kobiety, z którymi byłem w życiu. Jestem rozmażanym romantykiem i uważam to za swój największy błąd. Zazdroścę wszystkim mężczyznom, którzy są chłodni, wykalkulowani, spokojni i metodyczni. Mogę jedynie zagrać mocnego typa, ale w życiu prywatnym – szkoda gadać!”

W jego dorobku filmowym najwięcej było wizerunków ludzi skompromitowanych, słabych, pokrewnych, tych prawdziwych mężczyzn było w sumie niewiele. Nie grał amantów – Nikodem Dyzma nie był przecież mężczyzną, który potrafi kochać, dla niego ważniejsza była kariera. Niby „zimny drań”, ale kiedy kobiety ściągaly z niego piżamę, bał się i miał ochotę uciec.

W pierwszym rodzimym horrorze erotycznym

„Widziadło” zagrał faceta, który ma ogromne problemy z własną niemocą seksualną. W związku z tą rolą znana była w środowisku historia, kiedy to Roman Wilhelm pobierał konsultacje u seksuologa. Nie wynikało to z jego prywatnej niemocy, przeciwnie – z niewiedzy co czuje i jak zachowuje się ktoś, kto nie może spełniać się jako mężczyzna w relacjach damsko-męskich.

Do każdej roli przygotowywał się bardzo starannie i wszechstronnie. Nagrywał na magnetofonie wszystkie swoje rozmowy z reżyserem, ze scenarzystą, z ludźmi, którzy mogli mu coś ciekawego powiedzieć. Aktorstwo traktował jako zawód. Nie uznawał w nim żadnych wstydu, zahamowań i niemocy. Lubiał kobiety i seks, miał nawet opinię erotomana, ale to hobby nie przesłaniało innych pasji i w jego osobistej ocenie raczej było epizodem. Bardziej tęsknił za komedią niż filmem erotycznym. Grał brutalni, samobójców, alkoholików, supersamców, ale czuł niedosyt komedii, którą uwielbiał jako gatunek filmowy. Tylko raz zagrał w komedii (satyrycznej) gospodarza bloku w serialu TV „Alternatywy 4” Stanisława Barei. Lubiał się śmiać i lubił, gdy ludzie się śmieją.

Sam określił się jako „typowy wytwór swego środowiska – aktora zapatrzonego głównie w siebie” i wcale się tego nie wstydił. Nie udawał, że przede wszystkim interesuje go teatr jako taki i że ma jakies wizje. Mimo tego zapatrzenia w siebie, nie podobał się sobie. Kiedy otrzymywał rolę, był pełen zwątpienia, czy jest najwłaściwszą osobą do jej zagrania – widział co najmniej pięciu kolegów, którzy pasowaliby do niej lepiej niż on. Zwykle uciekał, chował się i nie można było go odnaleźć przez tydzień. Kiedy już przekonał się do roli i pokonał wszystkie swoje słabości – siedział na całość. Był człowiekiem ogromnie impulsywnym. Efekty tego aż nadto były widoczne na ekranie. Od siebie wymagał dużo, od innych tyle samo. Jeżeli już zdecydował się grać, robił to bardzo sumiennie i najlepiej jak umiał. Nie cierpiał np. gdy ktoś, kto z nim pracował, był nie przygotowany. Kiedy oglądał siebie na ekranie, chciał mu się płakać, bo wszystko by zmienił, poprawił.

Co sądzili o Romanie Wilhelmie partnerzy ze wspólnych filmów?

Marcel Szytchelm:

„Graliśmy razem w kilku filmach: „Zaklęty dwór”, „Cma”, „Kariera Nikodema Dyzmy”. Jako partner był przystępny, kontaktowy, pomocny. Lubiał proponować reżyserom własne pomysły, miał

poczucie własnej wartości na planie i tworzył pewien „mur” na tym właśnie oparty. Mimo serdeczności, narzucał partnerom, aby budowali atmosferę sceny na planie filmowym pod kątem jego roli. Tak sterował partnerami (jednocześnie im pomagając), aby pracowali na korzyść postaci, którą odtwarzał.

Jako człowiek, potrafił zaznaczyć aproboję tego co mu się podoba i dezaprobatę tego, co nie. Nie był wylewny, raczej jakiś mały gest, uśmiech, grymas. Zauważyłem, że poza planem również gra i nie wiadomo – jaki jest prywatnie. Jego sposób bycia był zawsze bardzo aktorski, np. sposób palenia papierosa – bardziej gwiazdorski niż swobodny i naturalny.

Teraz, gdy zmarł, zauważymy, że zabrakło wybitnego aktora o swoistym emplot („zimny drań”), ale mimo kamuflażu swojej prawdziwej twarzy, jestem przekonany, że takim nie był.”



Czesław Nogański:

„Roman znany był z tego, że lubił przesiadywać w knajpie „Halong” na ul. Grzybowskiej w Warszawie, obok której mieszkał. Pił dużo, szczególnie wtedy, gdy nie otrzymywał propozycji po roli w serialu „Cztery pancerni i pies”. Siedział i pił i grał dla samego siebie. Kiedy później oglądałem go w telewizyjnym spektaklu „Leki poranne” Stanisława Grochowiaka, zauważyłem ogromne podobieństwo bohatera i aktora. Ponadto był zawsze niemodnie ubrany, jakieś 10 lat do tyłu. Drogo, ale niemodnie”

Nie był intelektualista, nawet mówiono o nim „umysłowy beton”, ale grał świetnie. Lubiał wpadać do teatru na spektakle, w których sam ongiś grał i ostentacyjnie wychodził, jeżeli coś mu się nie podobało. Znany był z tego, że egzemplarz sztuki lub scenariusza określał czerwonym flamastrem, pisząc „O”, co oznaczało „odpuścić” lub „P” co znaczyło „przypierdolić”. Był aktorem intuicyjnym. Typowe zwierzę aktorskie.

Roman Wilhelm od dawna był chory, znajomi mówili, że jego zniszczona trzustka jest już w takim stanie, że właściwie już go nie ma. W ostatnim okresie życia przebywał na oddziale gruźlicy płuc z rozpoznaniem: nowotwór. Jeszcze tak niedawno stał na szpitalnym korytarzu i jak zwykle nerwowo palił papierosa...

Bohdan Gadomski

wszystkich kolekcjach pojawiają się kostiumy w stylu „business woman”, oraz nowosć – sukienki, o których ostatnio jakby zapomniano.

– Jakie są pani plany na najbliższą przyszłość?
– Nie chciałabym zapeszać, jednak muszę się przyznać, że przygotowuję kolekcję karnawałową. Stroje wieczorowe ze skóry. Poza tym mam zamiar przyjąć oferty, jakie otrzymałam od łódzkich, prywatnych firm, pragnących stworzyć własny image. Marzę również o tym, żeby projektować komplety: buty, torebki, rękawiczki. W całej Polsce

– Czy trudno jest być w Polsce projektantką mody?

– Bardzo trudno! W chwili obecnej, gdy zakłady produkujące odzież upadają, pierwsi są zwalniani z pracy plastycy. Co prawda, pojawiają się na ich miejsce małe, prywatne firmy, ale powiedziałabym, że to dopiero pierwsze jaskółki na mocno zachmurzonym niebie.

– Najchętniej projektuje pani odzież skózaną. Dlaczego?

– Kocham skórę! To wspaniały surowiec. Można z

miał na sobie taką kurtkę i spodnie. Teraz, kiedy modna jest skóra, wszyscy chodzą w skórzanych kurtkach. Identycznie jest z kobietami. Nasze ulice pełne są zaniebanych mamus albo unundurowanych nastolatka. Żadnej własnej inwencji, fantazji, bawienia się modą. A przecież moda nie polega na ubieraniu się „tak jak wszyscy”, lecz kulturze osobistej, fantazji, umiejętnym eksponowaniu swojej osobowości z uwzględnieniem obowiązujących trendów.

– Jak pani myśli, skąd u nas ten pociąg do unundurowania?

„Polakom kultura jest niepotrzebna!”

Rozmowa z plastyczką, projektantką mody, KRYSZYŃĄ PELIKAN

nić zrobić wszystko, nawet kostium kąpielowy. Moje projekty to unikat. Każdy płaszcz czy sukienkę wykonuję tylko w jednym egzemplarzu. Dzięki temu jest ona jedyna w swoim rodzaju i niepowtarzalna.

– ...I bardzo droga?

– To dlatego, że skóra jest droga. Ja zaopatruję się w polską skórę. Dzięki temu na przykład płaszcz kosztuje „tylko” 6 milionów. Gdybym musiała sprowadzać skórę z zagranicy, byłby dużo droższy.

– Powszechnie panuje przekonanie, że projektanci mody, to ludzie bardzo bogaci...

– Bogaci są wielcy kreatorzy mody na Zachodzie. W Polsce projektant nigdy nie był ani doceniony, ani dobrze opłacany. Za tak zwanej komuny, projektanci walczyli o swoją pozycję, z trudem udawało im się dostać zatrudnienie w zakładach pracy. Teraz też nie mają lekko. Prywatnym przedsiębiorcom bardziej opłaca się sprowadzić gotowe kurtki skórzane z Turcji niż zatrudnić projektanta.

– Jaki jest według pani stosunek Polaków do mody?

– Moda jest częścią kultury, a Polakom – muszę stwierdzić z bólem – kultura jest niepotrzebna! Zaczynają od kultury osobistej. Przeciętny Polak nie używa dezodorantu, chodzi w przybrudzonych i przetartych na posładkach i kolanach dżinsach, a na nogach ma nie czyszczone od lat adidasy. Do tego tłuste, pozlepiane włosy. Wizerunek ten uzupełniają nieczystość wyrazy, bez których Polak nie potrafi zbudować ani jednego zdania. Ci, którzy interesują się modą, chodzą zazwyczaj jednakowo unundurowani. Jak modne były tureckie dżinsy, to każdy mężczyzna

– Nie mam pojęcia. Czasem myślę, że może to wina minionego systemu, który tłumil w nas każdą oznakę indywidualizmu. Gdzieś w podświadomości tkwi w nas przekonanie, że „wytłumianie się” jest czymś niewłaściwym, więc podporządkowujemy się. Myślimy jak wszyscy, robimy to co wszyscy, ubieramy się jak wszyscy. Być może, winę ponosi też strach przed nietolerancją otoczenia. Boimy się ubrać inaczej, aby nie zostać wyśmiani. A może po prostu jesteśmy beznamiętni. Ubieramy się w mundurki, aby uniknąć w ten sposób pracy nad kreowaniem siebie. Podam pani taki przykład. Pracowałam kiedyś w „Skogarze”. Pamiętam, że któregoś dnia jedna z pracownic kupiła sobie modny ciuch. Jej koleżanki następnego dnia kupiły sobie identyczne. Natomiast starsze panie, które uważały, że moda jest tylko dla młodych, obnażały z dumą tłuste włosy i spódnice skrojone według tego samego wzorca – nieaktualnego od lat. Na mnie – osobę ubraną niekonwencjonalnie – patrzyły jak na dziwaczkę i uśmiechały się ironicznie pod nosem.

– A nie sądzi pani, że jesteśmy ubrani źle, ponieważ nie mamy pieniędzy?

– Skoro mamy pieniądze na kupno „mundurka”, to również mamy pieniądze na kupno rzeczy oryginalnej, niepowtarzalnej. Zresztą moda nie polega na wydawaniu pieniędzy, lecz – jak już powiedziałam – eksponowaniu swojej indywidualności z uwzględnieniem obowiązujących trendów.

– Co jest najmodniejsze w tym sezonie?
– Spódniczki krótkie – przed kolano (nie kawałki materiału ledwo zasłaniające posładki!!!), bądź długie, tuż przed kostkę. Króluje moda z lat sześćdziesiątych, idąca w kierunku klasyki. We



nie ma ani jednego sklepu, w którym sprzedawano by komplety. Proponowałam to kiedyś firmie, dla której pracowałam, ale mimo iż mój pomysł podobał się, nigdy go nie zrealizowano.

– W takim razie życzyć powodzenia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:

Magdalena Grochowalska



Typowy groch z kapustą. To możemy powiedzieć o telewizji z czystym sumieniem. Nie sądzę nawet, by kogokolwiek z Komitetu ds. Radia i Telewizji uraziła taka opinia. W końcu pracują tam ludzie inteligentni i bywali w świecie, zdają więc sobie sprawę z tego, co robią. Czasem jednak i telewizja potrafi zaskoczyć i to nie byle jak. A biorąc pod uwagę notoryczny brak pieniędzy, na jaki cierpi i ta instytucja, można zaryzykować twierdzenie, że niektóre propozycje programowe (fakt, że liczebne) zasługują na pełne uznanie.

W minionym tygodniu Bogusław Kaczyński w cyklu „Rewelacja miesiąca” zaprezentował telewizyjny spektakl już nieco leciwy, bo ośmioletni, ale fascynujący. I nie tylko o tytuł tu chodzi. „Turandot” dla wszystkich miłośników sztuki wokalne jest jednym z ulubionych dzieł Pucciniego. Nie tylko o miejsce wykonania opery – Arena di Verona, stronę muzyczną czy wokalną. Niezwykła w tej realizacji była jej plastyczność. Wspaniała scenografia (chwilami, przy tzw. planach pełnych wyglądała jak przepiękne malowidło), na tle której reżyser rozegrał całość szczęśliwie zakończzonego dramatu i sposób pokazywania przez telewizyjnych operatorów był czynnikiem dodatkowo wzbogacającym siłę jego dramaturgicznego napięcia. Oglądając, i oczywiście słuchając, zastanawiałem się dlaczego my w Polsce nie możemy pochwalić się podobnymi osiągnięciami. Mamy wszak świetnych reżyserów, scenografów, wybitnych, znanych w świecie wokalistów nie ustępujących kunstwowi wykonawczemu G. Dimitrowej (Turandot), czy N. Martinucciemu (Kalaf). W tym tygodniu „Hit” przyznaje swój tytuł „Turandot” w Arena di Verona, pomniejszony o malarńki tytułik, który rezerwuje dla polskiej realizacji operowej. Jeśli mogę tak familiarnie: Panie Bogusławie – Czeka-my!

Michał Lenarciński

Rewelacja miesiąca: G. Puccini „Turandot”, 14 listopada II pr. TV.



Na V Ogólnopolskiej Konferencji Dyrektorów Wydziałów Wojewódzkich odpowiedzialnych za kulturę, jaka miała miejsce w Łodzi, siłę niewzruszonego spokoju, a choć to sprzeczność – również desperację reprezentowała 18-osobowa delegacja Ministerstwa Kultury i Sztuki z ministrem Markiem Rostworowskim na czele. Zdziwiający to fakt, by u schyłku kadencji aż tylu ludziom naraz zakwitła w duszach troska o losy kultury, którą wcześniej, jeśli sędzić po efektach pracy, traktowali raczej po macoszemu. Zgromadzeni dyrektorzy przekonani byli o dobrym stanie polskiej kultury, bo skoro nieboszcza PZPR jej nie zniszczyła, dlaczego miałoby dojść do tego w Wolnej Polsce? A choćby dlatego, że resort kultury dotknął najbardziej budżetowe cięcia, że min. Rostworowski stojący na czele resortu pozwolił na to, by „z kultury zrobiono kozła ofiarnego” (jedna z wypowiedzi pana ministra). Dlaczego jednak sceny nie porosły jeszcze trawą, a w filharmoniach nie ma kasyn gier? Otóż dlatego, że ludzie kultury robią swoje i nie zwracają uwagi na ludzi od kultury. Wątpię jednak czy w przyszłym roku będzie to możliwe z podobnym skutkiem. Dyrektorzy obliczyli, że potrzeba im dla kultury ponad 4 bln zł, a MKiSz z budżetu przekazał im 1,45 mld. Ani jedna, ani druga strona (a przecież tu nie powinno być podziałów) nie przekonały się wzajemnie. Stanowisko ministerstwa mówiące o tym, że za te pieniądze wszystko i wszystkich można utrzymać na tym samym co w bieżącym roku poziomie było równie naiwne, jak wmawianie dzieciom, że lody są niedobre.

Odniosłem wrażenie, że spotkanie to było potrzebne urzędnikom od kultury, by mogli wyprać (tak jak mafia pieniądze) własne sumienia.

Michał Lenarciński

V Ogólnopolska Konferencja Dyrektorów Wydziałów Wojewódzkich; 7-8 listopada, Łódzki Dom Kultury

HURTOWNIA CHEMICZNA A - Z

w Łodzi, ul. Ogrodowa 17

poleca szeroki asortyment:

- ❖ proszków, mydeł,
- ❖ dezodorantów,
- ❖ płynów do mycia naczyń,
- ❖ past BHP, środków do szorowania,
- ❖ past do zębów, itp.

firm zachodnich i krajowych

ZAPRASZAMY
od poniedziałku do soboty
w godzinach 7 - 17

Wjazd samochodem od
ul. Drewnowskiej 64
(teren POLTEXU)

HURTOWNIA

„KOSMETYK”

Sprzedaż hurtowa i detaliczna
wyrobów perfumeryjno-
kosmetycznych
i chemii gospodarczej
pochodzenia krajowego
i zagranicznego

90-613 Łódź,
ul. Gdańska 81
tel. 33-72-52

Czynne 8-16 soboty 8-14
Ceny konkurencyjne

Hurtownia „MALEX”

oferuje
po konkurencyjnych
cenach:
piwa importowane,
krajowe
cocktail „KASKADA”

91-002 Łódź,
ul. Drewnowska 64
Kontakt tel. 74-96-42
CB RADIO
Kanał 22 „MALEX”

- Polepszacz pieczywa AKO
- Herbaty indyjskie oryginalne - 39.000 zł/kg
- Mąki, cukier, makarony, napoje „HORTEX”
- Słodycze, wina, piwa

poleca hurtownia

HART-DENEK

Łódź, ul. Drewnowska 64
(teren Poltexu)
tel. 57-12 95

CONFEXIM MARKET spółka z o.o.

Szanując przyzwyczajenia, nie tracąc jednak z oczu mody światowej i zapotrzebowania rynku, stawiamy do dyspozycji Szanownych Klientów:

- hurtownię szeroki wybór atrakcyjnej odzieży importowanej,
- dom handlowy,
- usługi importowe,
- skład celny.

Posiadamy najlepszą obsługę, wyposażenie techniczne najbardziej znanych firm światowych, towar odpowiadający cenie pod względem jakości i rodzaju oraz możliwości finansowych kupujących.

Nasz adres:

Dom Handlowy „TEOFIL”
Łódź, ul. Aleksandrowska 38
sprzedaż detaliczna, usługi importowe
tel. 52-71-60, 52-71-65, fax 55-71-39, tix 88-51-62

BAZA MAGAZYNOWA I SKŁAD CELNY, HURTOWNIA
Łódź, ul. Brukowa 8, tel. 51-55-16, magazyn nr 5

**PRZYJDŹ, ZOBACZ, KUP! POLEĆ NAS SWOIM ZNAJOMYM!
ZAPRASZAMY**

REWELACJA!!!

- laminarki
 - bindownice
 - sklejkarki
- firmy „IBICO” Szwajcaria

do szybkiej, estetycznej i kolorowej
oprawy dokumentów, ofert, cenników, akt,
katalogów, itp.

Poleca: **B.U.J „AIM”**

Łódź, Nawrot 114,
tel. 74-49-79
centr. 74-46-24
i 74-48-37 w. 304

Zapewnia: serwis,
materiały eksploatacyjne

E. L. Skalnik. Z TYGODNIA NA TYDZIEŃ (27)

Chociaż starała się stapać jak najciszej, pod nogą zatrzeszczała deska w podłodze. Żeby się tylko Heniek nie obudził, pomyślała Jadwiga z niepokojem. Profesor nakazał bezwzględny spokój, innej operacja się nie uda. Nagle przypomniała sobie, że przecież Heniek jest już dawno po operacji, wrócił ze szpitala, czuje się całkiem dobrze, a kontrolne badania wypadły pozytywnie i nie ma żadnych powodów do obaw. Co ja?, co ja? – pomyślała z lękiem i wówczas zobaczyła, że z sufitu nad łóżkiem odlatuje się potężny blok stropu. Niczym olbrzymie, śmiertelne wahadło chwycie się zgrzytliwie raz w jedną, raz w drugą stronę wprost nad głową śpiącego. Jezus Maria! Heniek!, obudź się!, uciekaj! – chciała krzyknąć, lecz nie potrafiła wydobyć głosu. Ogarnął ją paniczny strach. Wiedziała, że jeśli nie zdola obudzić w porę męża, ten

Otrząsnęła się. Dopadł ją przenikliwy chłód. Podciągnęła koldrę aż pod brode.

– Powinnaś pójść do lekarza, Jadzia.
– A po co?
– Wyglądałaś, jakbyś się dusiła. Przestraszyłem się. Chciałem cię wybudzić, ale ty zeszytniałaś, zaczęłaś krzyżeć. Takie złe sny to chyba od serca, Jadzia. Ekagie trzeba by ci zrobić.

No cóż, może i tak. Serce. Ostatnio często drętwieje jej lewa ręka, a kiedy sprawdza sobie tętno, jest ono ledwo wyczuwalne, rwie się pod palcem, nierówne, arytmiczne. Tyle jednak zmartwień. Nim się człowiek otrząsnął zdąży z jednego, już drugie nadchodzi. Joasia... co się z tym dzieckiem narobiło? Boże drogi, co? Prawie w domu nie nocuje. Siedzi u tego swego przyszłego, którego do tej pory rodzicom nie

obraczkę. Jak go całuje. Potem jako pierwsi – a jakże by inaczej – złożymy młodemu ślubne życzenia. A potem Jadzia, wrócimy do naszych trzech pokoi z kuchnią w starym budownictwie, natomiast nasza córka odjedzie, machając nam ręką na pożegnanie, do siebie. Do swojej willi z szukanami. Do której nas, rodziców, nie zaprosi. Taki to będzie ten ślub, Jadzia. I dlatego uważam, że bezcelowe jest zadzwanianie się Joasia. Albo Anitą. Tak, Jadzia. Już dawno zostalibyśmy i bez Anity, gdyby na przykład Marek miał własne mieszkanie.

– Anita nie jest taka! – zaprotestowała słabo.
– Anita przez szereg lat robiła dokładnie to, co kazał mąż. Uległa mu we wszystkim. Akceptowała każde jego świństwo. Gdyby Marek zażądał od niej, żeby cię nie wpuściła za próg, posłuchałaby i zatrzasnęłaby ci drzwi przed nosem.

Ach, Boże, i po co?, po co on to mówi? To boli. Mieć troje dzieci, wychować je, przyporządkowywać im każdy kolejny dzień swego życia, wypruć z

siebie? oddzielić choć pod wspólnym dachem? Czy może uda się nam to zmienić?

– Ależ, Heniek...

– Nie przerywaj, proszę. Wiem, że wyrażam się nieskładnie, nigdy nie umiałem ładnie mówić, niezgrabny był ze mnie kawaler... Pamiętaj, jak mnie zatrzymałaś w bramie tego domu i powiedziałaś: Kolego, może by się kolega ze mną umówił? To było szczęście, bo ja cię, Jadzia, pokochałem od pierwszego wejrzenia. Przez krótki czas wydawało mi się, że i ty mnie też. Ale któregoś nocy zaczęłaś przez sen tamtego wołać. Zbyszek. Ładne imię. To zrozumiałem, dlaczego mnie zaczepiłaś, dlaczego za mnie wyszłaś. Nie powiem, że to nie bolało. Lecz myślałem, że ciebie musi boleć mocniej. Ze twoja udręka straszniejsza od mojej. To i milczałem. Nie chciałem, żebyś wiedziała, że ja wiem. Bo i po co? Co by to zmieniło? Jeśli wina niczyja. Czy twoja, że kochałaś innego? Czy tego dzieciaka, który miał się urodzić?

– Boże mój... – szepnęła, zmartwiała. Poczuła się tak, jak w swoim śnie: że spada w czarną otchłań – Wieg ty...

– Och, Jadzia! Było, minęło. I wiesz, że do końca życia nie powiedziałbym ci, że wiem, ale – widzisz, muszę ci jeszcze o czymś. Żebyś mnie dobrze wyrozumiała. Postaraj się wysłuchać cierpliwie. Pamiętaj, że ten ostatni wieczór przed moim wyjściem do szpitala? Leżałem tu, w tym pokoju, na tym łóżku – sam. Słyszałem twoje kroki z głębi domu, ale one wciąż i wciąż omijały drzwi, za którymi czekałem na ciebie. Bo ja czekałem na ciebie, Jadzia. Nie umiem nawet wypowiedzieć cię, jak bardzo. Pragnęłam, abyś kolo mnie usiadła, objęła, pocieszyła swoim ciepłem, swoim oddechem, ukołowała ten strach, jaki był we mnie. Bo przecież ja, Jadzia, myślałem, że do żywych już nie wrócę. Wreszcie przyszedłaś. Rozmawiałem byłem taki, że od razu serce w gardle... Przyszedłaś. Nie podeszłaś. Nie usiadłaś. Nie objęłaś. Zabrałaś się za pakowanie moich rzeczy. Piżamę składałaś kant do kantu. Reżnik równiutko, równiutko. O niczym nie wspominałaś. O najmniejszym drobniaku. Mydełko. Pasta do zębów, szczoteczka... Taka dobra żona, wypełniająca swoje obowiązki. Więc tam, w tym szpitalu, przed operacją już nie bałam się, nic a nic. Nie bardzo mi się chciało żyć. Bo do kogo wracać? Do tej dobrej żony? Pies drapał takie życie. Nie chciałem go. Bo widzisz, Jadzia, twoje niekochanie mogłem znieść, ale tej obojętności już nie. Za nic. Dlatego pomyślałem, że jeżeli – nie daj Bóg – przeżyję, to nie wrócę. Odejdę. Zostawię ci mieszkanie, myślałem, wyprowadzę się na wieś. Do matki, brata, pomogę im w gospodarstwie, przydam się jeszcze do jakiejś prostej roboty. Jak dostanę rentę, oddam ci pół. Żebyś nie miała ode mnie krzywdy. W końcu przysięgałem ci przed Panem Bogiem, że będę się tobą opiekował zawsze, w każdej godzinie życia, aż do śmierci...

Nie zważając, że noc, że za ścianą z lewej śpią dziadkowie, a z prawej Anita i dzieci krzyknęła, że gdyby to zrobił, poszłaby za nim! po niego! do niego! Jezus, Heniek, powtarzała, obejmując swego męża gwałtownie, gorączkowo dotykając jego ust, policzków; Jezus! ja poza tobą, Heniek, ja nikogo! nikogo bliższego, kochanego, Heniek!

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

za chwilę zginie, zmiądzony walącym się stropem. Zaczęła biec, ale przestrzeń pomiędzy nią a łóżkiem nie zmniejszała się ani trochę, a tymczasem strop obniżał się nieubłaganie, centymetr po centymetrze, niżej i niżej. Dom zadygotał. Frontalna ściana pokoju rozpadła się na cegły, deski, druty, żelastwo, wylatywały szyby, ramy okienne. Odsłaniała się beżnierna, czarna czeluść. Dom się wali, usławiła się zgrozą Jadwiga, zginiemy wszyscy! nikt się nie uratuje. Zaświdrował przeraźliwy krzyk Damiana. Boże, miej litość chociaż nad dziećmi! Poczuła, że spada. To śmierć, zdążyła jeszcze pomyśleć.

– Jadzia? Jadzia! Co tobie?
Ktoś nią potrząsał, obejmował, gładził po twarzy, włosach. Kto?

– Jadzia...

Długo trwało, nim zrozumiała, że żyje, a to wszystko, co przeżywała przed chwilą, było wyłącznie sennym koszmarem. Wokół znajome meble; przy łóżku pocziwa, stara komódka, na której równomiernie, uspokajająco tykał budzik. Za oknami jeszcze ciemno. Noc.

– O, dobry Boże – szepnęła, oddychając głęboko – ależ miałam sen. Śniło mi się...

– Wiem – przerwał jej łagodnie – że wszyscy zginiemy.

– Skąd wiesz? – zdumiała się Jadwiga.
– Bo krzyczałaś o tym. Dom się zawalał, przysięgałaś gruzami.

przedstawiła. O niczym innym nie mówi, tylko o pieniądzech. Ile ich będzie miała. O dziecku, które ma urodzić, ani słowa.

– Nie dręcz się tak, Jadzia – odezwał się Heniek, objął żonę – Nie warto.

– O czym ty?

– O tobie. O nas.

– O nas? A cóż my? – prychnęła zniecierpliwiona – Myślny swoje życie przeżyli. Za to Joasia...

– Joasia nie oglądając się ani na ciebie, ani na mnie mierza prosto do celu. Nas Joasia ze swego życia już skreśliła. Nie będziemy jej potrzebni do niczego.

Zaprzeczyła gwałtownie, że to nieprawda. Joasia jest dobra, kochana, to ten człowiek, który ją uwiódł, tak zdeprawował jej charakter, tak wypaczył, tak zniszczył, pokalał, odmienił, omamiał.

– Och, Jadzia, sama nie wierzysz we własne słowa. A ja teraz myślę, że to nie ten mężczyzna ją uwiódł, tylko właśnie nasza niby niewinna córka postanowiła wyjść za jego pieniądze i dlatego zafundowała sobie brzuch... Co ci, Jadzia? Płaczesz? Nie trzeba, płaczem niczego nie zmienisz. Taka jest prawda, i nie jej nie odmieni. Lepiej nie mieć złudzeń. Lepiej się nie oszukiwać. Niedługo, Jadzia, ślub Joasia. – mówił Heniek cicho, obejmując żonę coraz mocniej – Odstroimy się, pójdziemy do Urzędu Stanu Cywilnego. Zasiadziemy, a jakże, w pierwszym rzędzie. Honorowym. To się należy, rodzicom panny młodej. I będziemy obserwować naszą córkę, jak wkłada na palec swego męża

siebie dla nich flaki, pracować ponad siły, a potem nagle czuć się kimś zbytecznym, niepotrzebnym balastem. Kimś, kogo można wyminąć obojętnie. Nawet kopnąć, jeśli się stoi na drodze i zawadza. Troje dzieci. Andrzej. Anita. Joanna. Andrzej odszedł dawno. Anita też, chociaż mieszka pod wspólnym dachem. Teraz Joasia. Ostatnia, najmłodsza. Wypieszczona, wychuchana. Boże miłosierny, co się stało z moją córką? Gdzie się podziała tamta: dobra, czuła, kochana, mądra?

– Wreszcie należy myśleć o sobie, Jadzia. Żyć dla siebie.

Poruszyła się niespokojnie. O sobie?, pomyślała z goryczą – a co my jeszcze możemy sobie dać?, co ofiarować? Starzy, zmęczeni, udrczeni. Swoje życie rozdaliśmy swoim dzieciom, a one, dopóki im to było potrzebne, czerpały pełnymi garściami. Teraz nam nie pozostało już nic.

– Wiem, że mnie nie kochałaś.

– Co? co?

– Brałem cię w ramiona, a ty sztywniałaś. Całowałem, a ty zaciskałaś usta, odwracałaś głowę.

– Heniek, na litość boską... o czym ty?

– O nas. O tobie. O sobie. – odpowiedział cicho – Nie robię ci wyrzutów, Jadzia. Ale tak sobie myślę, że nadszedł czas, aby porozmawiać szczerze. O paru sprawach. To ważne sprawy, Jadzia. Może najważniejsze. Dla nas. Dla ciebie. Dla mnie. Może od tego, co dziś powiemy, będzie zależeć reszta naszego życia. Jakie ono będzie? Czy dalej będziemy żyć obok

Próby konfederacji Polsko-Czechosłowackiej w czasie II wojny światowej. (2)

Wkrótce po utworzeniu rządu gen. Sikorskiego we Francji nastąpiły pierwsze kontakty i wymiany opinii między premierem rządu czechosłowackiego na emigracji Beneszem a gen. Sikorskim. Rozmowy toczyli także minister spraw zagranicznych Zaleski i ambasador Edward Raczyński. Sikorski, od razu podczas pierwszej rozmowy zaznaczył, że potępi politykę Becka i pragnie bliskiej współpracy, a nawet konfederacji czechosłowacko-polskiej. Nie wiadomo, czy była to sugestia Wielkiej Brytanii, której idea stworzenia po wojnie jakiegoś związku państw w Europie Środkowo-Wschodniej mającego zapewnić równowagę na kontynencie, zdawała się odpowiadać. Czy może była to nostalgia za monarchią austro-węgierską.

Faktem jest, że idea związku dwóch państw była bliska Sikorskiemu. Już w pierwszym „expose” rządu polskiego z 20.XII.1939 r. była mowa o bloku państw słowiańskich od Bałtyku po Morze Czarne i Adriatyk. Bardziej

stałby się podstawą nowego porządku rzeczy w Europie Środkowej i gwarancją jego trwałości.

W deklaracji nie padło słowo „konfederacja” czy „federacja”, a jedynie „związek”. W tej fazie nic więcej nie można było powiedzieć, a korespondencja między Sikorskim a Beneszem wykazywała na istnienie zasadniczych różnic. 2 grudnia 1940 r. Sikorski stwierdzał, iż zgadza się na ułożenie dobrych stosunków z Rosją, ale uważa, że przyjazny stosunek Sowieców będzie można osiągnąć wtedy, gdy federacja stanie się na tyle mocna, że Moskwa będzie musiała się z nią liczyć.

Oznaczało to, że Sikorski pragnął osiągnąć pełną solidarność Czechosłowacji wobec Rosji, łącznie z postulatem nietykalności granicy wschodniej. Podkreślał również konieczność polityki zagranicznej w pełni niezależnej od ZSRR. W obu tych punktach pogląd Benesza był diametralnie różny, gdyż pragnął on oprzeć federację o Rosję. Sikorski wspominał też o

ustępstw wobec Polski, co mogło oznaczać, iż poprzednia granica nie była sprawiedliwa. Benesz zareagował bardzo ostro, stwierdzając że był zmuszony do ustępstw. Tak więc, tydzień przed atakiem Hitlera na ZSRR, stosunki polsko-czechosłowackie były w stanie pewnego impasu. Wojna Rosji z Niemcami wzmocniła pozycję Czechosłowacji wobec Polski stawiając oba rządy w krańcowo różnej sytuacji. Ponowne nawiązanie stosunków czechosłowacko-rosyjskich nastąpiło już 18 lipca. Konfederacja sponsorowana przez Moskwę, nabierała charakteru zapory przeciw Niemcom, opartej o sowieckie zaplecze. Benesz łatwo uzyskał aprobatę dla swych planów, informując ambasadora Majskiego, iż nie podjął żadnych zobowiązań wobec rządu Sikorskiego, i że w odróżnieniu od Polaków widział przyszły związek, jako rodzaj konfederacji a nie federacji. Oznaczało to, że zatrzyma on prawo do ostatecznych decyzji w swoich rękach.

Wspomina Edward Raczyński – „Sowiety wywarły bardzo silny nacisk na Benesza, ażeby zerwać narady federacyjne. I Benesz nie potrafił się temu przeciwstawić. (...) On nawet naraził się na niezadowolenie Anglików, gdy zobaczyli, że jak najprędzej – chce porozumieć się z Sowietai.”

Obcy sobie sąsiedzi

konkretne kroki wynikające z rozmów polsko-czechosłowackich były jednak opóźniane przez sprawę uznania oficjalnego komitetu Benesza przez Anglię i Francję oraz przez rząd Sikorskiego, który chciał połączyć uznanie z ustaleniem bliskiej współpracy, co wzbudzało nieufność Benesza. Doceniał on jednak znaczenie zbliżenia, czy nawet unii. Uważał, że istniało niebezpieczeństwo kompromisowego pokoju z Niemcami kosztem krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Brał też pod uwagę możliwość konfliktu niemiecko-rosyjskiego. Uważał, że w takim wypadku ważnym by było, aby cele polityki czechosłowacko-polskiej nie były przeciwne celom Sowieców. Wszystko to skłaniało go do rozmów z Polakami, choć w swych pamiętnikach podkreślał „reakcyjny” charakter rządu emigracyjnego.

Ze swej strony Sikorski deklarował się (w wywiadzie dla „Petit Parisien” 21.01.1940 r.) jako zwolennik powojennej współpracy z Czechosłowacją, zmierzającej do federacji obu krajów, a następnie całej Europy Środkowo-Wschodniej. W lipcu 1940 r. Anglia uznała Benesza, jako prezydenta, a Radę, jako tymczasowy rząd czechosłowacki. Niedługo potem nastąpiło uznanie Rady przez emigracyjny rząd polski. 17 października Benesz wystąpił z konkretnymi propozycjami i wobec pozytywnej reakcji Sikorskiego, przedłożył memorandum datowane 1 listopada, które należy traktować, jako realny początek rokowań dotyczących konfederacji.

Według Benesza, miała ona nie ograniczać suwerenności obu państw, jakkolwiek przewidziana była unia walutowa i celna. Na szczeblu politycznym funkcjonowałby wspólny komitet, składający się z premierów i ministrów spraw zagranicznych, wojny i gospodarki, który uwzględniałby i koordynował linie polityczne obu państw. Przypominało to metody współpracy praktykowane w przedwojennej Małej Entencie, jakkolwiek w projekcie Benesza znaleźć można postulaty identycznego uzbrojenia obu armii i standaryzowanej produkcji zbrojeniowej, wspólny sztab generalny (sztaby polski i czechosłowacki nie przestawałyby istnieć), komitet parlamentarny oraz radę ekonomiczno-handlową.

Bardziej istotne były warunki, od których uzależniono – na przyszły związek – dążenie do zbliżenia społeczno-politycznego (Benesz chciał „demokratyzowania” Polski), pozostawienie spraw kontrowersyjnych na później (region cieszyński) oraz ustalenie wspólnej linii wobec Rosji. Benesz wysuwał też hipotezę rewolucji komunistycznej w Niemczech, a w następstwie współpracy niemiecko-rosyjskiej. Dlatego uważał, że należy uprzednio doprowadzić do wspólnego frontu Polski-Czechosłowacji z ZSRR.

Stronę polską „memorandum” mocno zawiodło. Sformułowania co do form konfederacji były uznane jako oznaka taktyki, polegającej na wykorzystywaniu współpracy z Polską podczas wojny bez wiązania sobie rąk, bez podejmowania zobowiązań, zostawiając sobie możliwość powrotu w przyszłości do jakiejś Małej Ententy pod batutą Pragi. Następstwem memoriału Benesza było ogłoszenie 11 listopada 1940 r. obopólnej deklaracji stwierdzającej, że Polska i Czechosłowacja „zamykają raz na zawsze okres dawnych urażów i sporów i biorąc pod uwagę wspólność podstawowych interesów, zdecydowane są po ukończeniu wojny wejść ze sobą – jako państwa niepodległe i suwerenne – w ścisły związek polityczny i gospodarczy, który

możliwości rozciągnięcia federacji w kierunku węgierskim i ewentualnie litewskim. Tu również Benesz był innego zdania. Spotkanie obu mężów stanu w wiejskiej rezydencji Benesza w Aston Abbots jedynie zaostrzyło istniejące różnice. Było to o tyle paradoksalne, iż Sikorski zjawiał się tam z okazji mającej podkreślić braterstwo broni inspekcji brygady czechosłowackiej. W trakcie rozmowy ujawniły się odmienne poglądy na temat wejścia ZSRR do wojny. Benesz zakładał, że wojny nie da się wygrać bez udziału Rosji, więc trzeba się do tej sytuacji dostosować. Sikorski określił podobno taką sytuację, jako katastrofę dla obu państw. Ze swej strony uważał, że wojnę wygra Anglia, do której dołączy Ameryka i że te dwa mocarstwa będą dyktować pokój.

List Sikorskiego do Benesza z 10.02.1941 r. utrudnił jeszcze szanse porozumienia. Sikorski przypomniał w nim, iż sam Benesz uważał, że wejście Armii Czerwonej do Europy Środkowo-Wschodniej nie byłoby pożądane. Podkreślił też że oba państwa winny popierać się w sprawach terytorialnych. List stał się – wbrew intencji Sikorskiego – kamieniem obrazu dla Benesza, który uważał, że Sikorski nalegając na granice z 1939 r. jest tak samo zaborczy, jak potępiany przez niego Beck. Czy Benesz, narzucając Polakom w memorandum pozostawienie spornych spraw na później, grał na zwłokę? Prawdopodobnie.

W wywiadzie udzielonym Tadeuszowi Kisielewskiemu w Londynie 10 lipca 1987 r. Edward Raczyński tak mówił o Beneszu: „Benesz (...) nie miał do Polaków przekonania. W gruncie rzeczy uważał Polaków za trudnych i gwałtownych, nierozsądnych w reakcjach. Sądzę, że w gruncie rzeczy nie był naszym przyjacielem”.

Benesz twierdził, że nie chce, aby Armia Czerwona weszła na terytorium Polski czy Czechosłowacji. Wobec sporu granicznego polsko-rosyjskiego, kontynuował politykę „nie wtrącania się”. W praktyce, dzięki kontaktowi z rosyjskim ambasadorem w Londynie Majskim, znalazł niechętny stosunek Sowieców do Sikorskiego. Dlatego zapewne kładł nacisk w swej argumentacji dotyczącej konfederacji na prosowieckie nastawienie.

W styczniu 1941 r. odbyło się pierwsze spotkanie polsko-czechosłowackiego komitetu koordynacyjnego. Dwa miesiące później ukazało się oświadczenie o powołaniu do życia komisji mieszanych d/s przyszłej konfederacji. Gen. Sikorski w czasie swej pierwszej podróży do USA (marzec 1941) rozwijał publicznie i w czasie rozmów w Waszyngtonie idee federacji środkowoeuropejskiej, której polsko-czechosłowacki związek miał być załącznikiem. Prezydent Roosevelt określił projekt słowem „piękna idea”, ale poza tym ustnym poparciem Stany nie zamierzały angażować się politycznie. Ze strony Czechosłowacji irytację budziło to, że Sikorski usurpuje sobie rolę lidera krajów Europy Środkowo-Wschodniej i stwarza wrażenie, że nie istnieją żadne rozbieżności między obu państwami. Być może grała tu rolę zawiść – Benesz lubił być centralną postacią na arenie międzynarodowej.

W tym momencie pozycja Sikorskiego wydawała się dość silna – w pierwszej po powrocie Sikorskiego z USA rozmowie z Beneszem, ten był bardziej ugodowy niż zwykle. Następne posunięcie Sikorskiego było taktycznym błędem. W liście z 18 czerwca, podkreślając polskie prawa do Śląska Cieszyńskiego, przypomniał Beneszowi jego gotowość (wyrażoną w liście do Mościckiego) do terytorialnych

Rząd Sikorskiego, zmuszony został przez sytuację i naciski brytyjskie do podpisania umowy z ZSRR, 30 lipca 1941 r. Nie przyniosła ona rezygnacji rosyjskiej ze zdobytych ziem polskich i nie wносиła nowych gwarancji brytyjskich, co spowodowało rozłam w rządzie emigracyjnym. Było to jednak najmniejsze zło w danym momencie.

Benesz przyjął układ Sikorski-Majski z dużym zadowoleniem – jakkolwiek wolałby, aby Polacy pogodzili się z utratą ziem wschodnich. Dnia 23.01.1942 r. ogłoszono wspólną deklarację, w której rządy Polski i Czechosłowacji uważają, iż konfederacja winna być otwarta dla innych państw, że celem jej jest zapewnienie wspólnej polityki w dziedzinie spraw zagranicznych, obrony, transportu i komunikacji. Podkreślono prawa i swobody osobiste oraz obywatelskie, niezależność rządów i demokratyczny charakter ustroju. Deklaracja była niewątpliwie bezprecedensowym wydarzeniem w dziejach stosunków obu państw. Jednak projekt konfederacji w rozumieniu Benesza był nie do zrealizowania w wypadku zastrzeżeń sowieckich, a te zaczęły się pojawiać wkrótce po ogłoszeniu deklaracji.

W Moskwie widziano idee konfederacji, jako instrument polityki brytyjskiej, a częściowo jako wzmocnienie pozycji Polski w stosunku do ZSRR. Bardzo ostrą reakcję w Moskwie wywołała wypowiedź Raczyńskiego, iż Litwa mogłaby znaleźć się w zasięgu przyszłej konfederacji. Benesz próbował przekonać swych radzieckich rozmówców – w czerwcu Mołotow zjawiał się w Londynie – że konfederacja jest w stanie przystosowacym, i że będą konieczne w Polsce zmiany ustrojowe – „bez polskich arystokratów”. Na nic się to jednak nie zdało. Oficjalne „veto” rosyjskie przekazał Beneszowi 16 lipca ambasador Bogomołow.

Następny krok uczyniła Anglia, uznając sojusz polsko-czechosłowacki za rozwiązany. Niemordowany Benesz próbował przeprowadzić jeszcze jeden wariant konfederacji, a mianowicie trójporozumienie rosyjsko-czechosłowacko-polskie. Oznaczało ono w praktyce całkowite podporządkowanie Polski linii politycznej Rosji. Jednak w tym momencie, w następstwie rewelacji katyńskich, Rosja zerwała już stosunki dyplomatyczne z rządem polskim w Londynie, a pozycja następcy Sikorskiego – Stanisława Mikołajczyka była o wiele słabsza. Współpraca polsko-czechosłowacka przeżywała swój tragiczny finał. 17.05.1943 r. wicepremier w rządzie Benesza, Jan Masaryk poinformował Edwarda Raczyńskiego o zawieszeniu jakichkolwiek rozmów. Odżegnując się od jakichkolwiek planów konfederacyjnych Benesz podpisał w 1943 r. sojusz z Moskwą, będący pierwszym z powojennych sojuszy tworzących Blok.

Próba konfederacji czechosłowacko-polskiej, dyktowana przez geopolitykę i doświadczenia lat międzywojennych zakończyła się fiaskiem. Sama idea jakiegoś bliższego związku nie przestała jednak istnieć. W latach powojennych pojawiły się na emigracji różne ośrodki propagujące tę myśl, m.in. zespół studiów polsko-czechosłowackich w Nowym Jorku, wydający w latach 50. i 70. pismo „The Central European Federalist”, czy wreszcie inicjatywy zbliżenia podejmowane przez KOR i Kartę 77, a później przez tzw. „Polsko-Czechosłowacką Solidarność”.

Grzegorz Kabaciński

Nocne spotkanie

Noc. Belweder. Dawny gabinet komendatna. Za biurkiem zamyślony Prezydent. Bezszelestnie uchylają się drzwi. Za nimi w mroku korytarza majaczy ludzka postać.

Prezydent: – Kurde, gdzie obstawa?

Zjawa: – Chyba kurdesz.

Prezydent: – Jaki kurdesz?

Zjawa: – Kurdesz nad kurdeszami, to staropolskie.

Prezydent: – Aha...

Zjawa powoli się zbliża. W świetle stojącej na biurku lampy ukazuje się stopniowo siwy mundur, maciejówka, ząsepiona twarz, sumiaste wąsy.

Prezydent: – Pan Marszałek!

Marszałek: – A kto miałby być? Konstancy?

To mój gabinet i co jakiś czas wracam. Gdy ostatni raz tu byłem zastałem za biurkiem jakiegoś generała. Znacze go?

Prezydent: – Nawet bardzo dobrze.

Marszałek: – A co z nim?

Prezydent: – Załatwiony. Ja go załatwiłem.

Marszałek: – No to mamy pierwszą rzecz wspólną. Ja też załatwiłem prezydenta. Porozmawiajmy więc. Wasz stopień?

Prezydent: – Kapral.

Marszałek: – Całkiem niezłe. Ja na początku nie byłem nawet fraitrem, start więc macie lepszy. Co dalej?

Prezydent: – Byłem brygadziwą.

Marszałek: – Dlaczego zmieniono nazwę? Dawniej był brygadier...

Prezydent: – Ale tu chodzi o coś innego.

Marszałek: – Nieważne. Więc kapral? Nadal kapral? Ja szybko zostałem marszałkiem. Za wojnę z bolszewi. A wy? Wydaliście wojnę bolszewikom?

Prezydent: – W pewnym sensie tak.

Marszałek: – Odnieśliście zwycięstwo?

Prezydent: – Tak jest!

Marszałek: – I nie dali marszałka? Polski bałagan, partyjniactwo, prywata. Partii teraz dużo?

Prezydent: – Bardzo dużo.

Marszałek: – Bez zmian. I co? Biorą się za łby?

Prezydent: – Biorą.

Marszałek: – Bez zmian. Co z komuną?

Prezydent: – Siedzi cicho.

Marszałek: – Też bez zmian. Co z konstytucją?

Prezydent: – Kiepska. Nie na ten czas.

Marszałek: – Jak tamta, marcowa – konstytucja...

Prezydent: – Nie rozumiem.

Marszałek: – Bo przypomina inne słowo – prostytutka. A więc w polityce bałagan?

Prezydent: – Tak jest.

Marszałek: – A w gospodarce?

Prezydent: – Kompletnie dno. Robi się co można i albo z tego wyjdziemy, albo zejdziemy.

Marszałek: – Ze stanowisk?

Prezydent: – Gorzej. Z tego świata. Solidarnie. Z całym społeczeństwem.

Marszałek: – Do dupy z taką solidarnością... ale czekaj no Pan, książko Pan pisze?

Prezydent: – Tak jest.

Marszałek: – Wyżyć z tego można, ja w swoim czasie wyżyłem...

Prezydent: – Chyba można...

Marszałek: – To rzuć Pan wszystko w cholere i wyjeżdżaj!

Prezydent: – Do Gdańska?

Marszałek: – Nie! Do Sulejówka!

Pieje kur. Zjawa znika.

Problemy zostają.

Zenon Janusz Michalski



„DAMIS”

bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO
ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.

- znikające atramenty
- sztuczne kupy
- brudzące mydła
- tańczące puszkę

Łódź,
tel. 56-01-88

● I OKOŁO 250 INNYCH
ATRAKCYJNYCH ZABAWEK
TEGO TYPU

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozoodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt
- urządzenia do odświeżania powietrza – jonizatory

Godziny otwarcia: od poniedziałku do piątku 10.00-18.00

HURTOWNIA ODZIEŻY IMPORTOWANEJ

„MEIMPEX”

Łódź, ul. Próchnika 13
tel. 33-41-32
czynna w godz. 9⁰⁰-18⁰⁰



poleca:

duży wybór bielizny damskiej, męskiej i dziecięcej

ZAPRASZAMY, CENY KONKURENCYJNE

HURT-ALL

**Hurtownia Materiałów
Sanitarno-Instalacyjnych**

Pabianice, ul. Lutomska 19,
tel. 15-23-92, tel/fax 15-23-82

oferuje

- rury i łączniki stalowe,
- rury i kształtki kanalizacyjne PCV,
- grzejniki żeliwne, panelowe i Faviera,
- zawory wodne i c.o.,
- brodziki i zlewozmywaki,
- gazowe piece kąpielowe,
- podgrzewacze elektryczne 5, 10, 50, 80 l,
- wiele innych atrakcyjnych towarów.

Prowadzimy sprzedaż towarów bez podatku obrotowego

ZAPRASZAMY! od 7 do 15

BIURO USŁUG
TURYSTYCZNYCH

JANOSIK

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

OFERUJE:

USA-KANADA-MEKSYK-WYSPIY BAHAMA

10, 14, 18 dni – ceny: 1670-2300 USD

FRANCJA – PARYŻ – licytacje samochodów z możliwością zakupu, cena: 2,5 mln złotych

PARYŻ-REIMS-METZ-MANNHAIM-FRANKFURT

przejazdy autokarowe z Wrocławia w każdy piątek

SYLWESTER w:

MADRYCIE, BARCELONIE, WENECJI, RIO DE JANEIRO
BRAZYLIA-ARGENTYNA – karnawał
ZAKOPANE – terminy dowolne: 70 tys. z wyżywieniem
CIEPLICE – Zdrój: 95 tys. z wyżywieniem
WISŁA – 95 tys. z wyżywieniem

Od listopada wyjazdy do:

**JAPONII, CHIN, INDII, TAJLANDII,
SINGAPURU**

W przygotowaniu wyjazdy na narty w Alpy oraz zimowiska w Czechosłowacji i Bukowinie Tatrzańskiej



UWAGA SZEFOWIE I WŁAŚCICIELE FIRM

Zakład Ubezpieczeń i Reasekuracji

„POLONIA” S. A.

90-406 Łódź, Piotrkowska 17 tel. 32 00 87, 32 66 58
fax 33 62 37 tlx 88 45 90

„POLONIA”
może przyjąć na siebie największe
ryzyko ponieważ jest powiązana
umowami reasekuracyjnymi
z „WESTA” i renomowanymi
zachodnimi firmami
ubezpieczeniowymi

Poleca przedsiębiorstwom, zakładom pracy, instytucjom na szczególnie korzystnych warunkach:

Ubezpieczenia majątkowe

- mienia od kradzieży z włamaniem i rabunku (możliwe zniżki do 60% składki!)
- mienia od ognia, huraganu i innych zdarzeń losowych (możliwe zniżki do 50% składki!)
- mienia w transporcie krajowym i zagranicznym
- od odpowiedzialności cywilnej, gdy w następstwie czynu niedozwolonego w związku z działalnością zawodową zaszyły zdarzenia, w wyniku których ubezpieczony zobowiązany będzie do naprawienia szkód wyrządzonych osobom trzecim
- od odpowiedzialności cywilnej Zakładu za szkody powstałe wskutek niewykonania zobowiązania lub kontraktu

Ubezpieczenia osobowe od następstw nieszczęśliwych wypadków zawierane we wszystkich możliwych wariantach

Ubezpieczenia pojazdów mechanicznych

Ubezpieczenia rodzinne grupowe i indywidualne we współpracy z WESTA-LIFE

„POLONIA” poleca także wszystkie ubezpieczenia obowiązkowe: (OC: komunikacyjne i rolne oraz budynki wchodzące w skład gospodarstwa rolnego) oraz ubezpieczenia zagraniczne w tym Zielona Karta

Zapraszamy do naszych punktów akwizycyjnych

Augustów, ul. Garmarska 1 tel. 40 59
Bełchatów, ul. Czapliniecka 19 tel. 294 89
Bielsko-Biała, ul. Stojałowski 44 tel. 218 68
Biłgoraj, ul. Konopnickiej 8 tel. 86 10 46 w. 238
Ciechanów, ul. Powstańców Warszawskich 6 tel. 46 19, 43 18
Częstochowa, ul. Waszyngtona 32 tel. 46 788, 46 994
Chełm, ul. Piłsudskiego 6 tel. 59 151
Chojnice, ul. Sukienników 2 tel. 36 05
Chorzów, ul. Dworcowa 1 tel. 413 467
Chrzanów, al. Henryka 31 tel. 28 17
Gdynia, ul. Abrahama 23/1 tel. 20 37 29
Giżycko, ul. Mickiewicza 26 tel. 38 53, 38 54, 39 19
Gliwice, ul. Mickiewicza 45 tel. 31 39 55
Jelenia Góra, ul. Świerczewskiego 51 tel. 256 18
Kalisz, ul. Śródmiejska 28 tel. 737 24
Katowice, ul. Korfańskiego 16 m. 10 tel. 57 12 92
Konin, ul. ZWM 7 tel. 297 34
Konin, ul. Dąbrowskiego 14 tel. 296 93

Kraków, ul. Sławkowska 23 tel. 22 03 75
Kraków, ul. Radziwiłłowska 21/2a tel. 21 86 19
Kielce, ul. Nowowiejska 9 m. 4 tel. 485 65
Kutno, ul. Narutowicza 5 tel. 482 55
Lublin al. Raclawickie 2a tel. 267 07
Łódź, ul. Piotrkowska 17 tel. 32 00 87, 32 66 58
Łódź, al. Politechniki 22/24 tel. 81 63 50 do 53
Łódź, ul. Przędzalniana 141/147 tel. 84 26 44
Łódź, ul. Pomorska 8 tel. 32 65 34
Łódź, ul. Wigury 7 tel. 36 12 09
Łódź, POL-WEST ul. Żeligowskiego 8/10 tel. 33 86 75
Łódź, ul. Tatrzańska 37/41 tel. 43 82 88
Nowa Sól, ul. Kaczkowskiego 3 tel. 20 94
Nowy Sącz, al. Wolności 19 tel. 22 712
Nysa, ul. Dąbrowszczaków 5 tel. 43 83
Opole, ul. Niedziałkowskiego 6 tel. 36 108
Ostrołęka, ul. Leszczyńskiego 16 tel. 38 66
Oświęcim, ul. W. Wasilewskiej s-ka GALANT tel. 256 26
Oświęcim, ul. Więźniów Oświęcimia 10 tel. 329 07

Piła, ul. Okrzei 15/17 tel. 231 13
Piotrków Trybunalski, ul. Młynarska 2 tel. 47 53 38
Płock, ul. Padlewskiego 5 tel. 282 61
Poznań, ul. Mickiewicza 32 tel. 483 001
Przemysł, ul. Ratuszowa 10a tel. 38 44, 65 01
Radomsko, ul. Kopiec 17 tel. 50 28
Ruda Śląska, ul. 1 Maja 218 tel. 420 174
Rzeszów, ul. 3 Maja 28 tel. 380 31 w. 60
Sandomierz, ul. Kosyła 22 tel. 248 34
Sieradz, ul. Zamkowa 7 tel. 71 041, 48 38
Sosnowiec, ul. Teatralna 9 tel. 66 14 70
Szczecin, al. Wyzwolenia 73 tel. 22 02 55
Tychy, ul. Grota-Roweckiego 44 tel. 27 03 80
Tychy, al. Niepodległości 60 tel. 27 20 41 w. 260
Wałbrzych, ul. Lewartowskiego 3 tel. 255 45
Wrocław, pl. Wolności 1 tel. 32 26 81
Wrocław, ul. Energetyczna 12/3 tel. 44 58 96, 40 12 19
Wrocław, pl. 1 Maja 1/2 tel. 444 384, 401 455
Wrocław, ul. Traugutta 1 tel. 44 78 36

Warszawa, ul. Emilii Plater 25/15a tel. 28 74 33
Warszawa, ul. Bródnowska 20 m.5 tel. 19 92 06
Warszawa, al. Jerozolimskie 144 tel. 22 48 11 w. 280
Warszawa, ul. Kasprzowicza 40 tel. 34 54 43, 34 68 25
Warszawa, ul. Marszałkowska 84/92 tel. 29 59 76
Warszawa, ul. Wołodyjowskiego 79a tel. 47 06 33
Warszawa, ul. Koszykowa 8 tel. 15 04 57
Warszawa, ul. Księcia Janusza 41/43
Warszawa, Rex Travel ul. Zamenhofska 13 tel. 635 52 52
Zakopane, ul. Zborowskiego 2 tel. 20 56
Zielona Góra, ul. Westerplatte 11 tel. 42 31
Zgierz, ul. Łęczyska 4 tel. 16 37 85

Fachowców z dziedziny ubezpieczeń zapraszamy do współpracy na korzystnych warunkach

SPRZEDAM

- MASZYNY do pisania elektryczną 600 tys. lub zamiennie. Łódź, tel. 58-33-21
- KOMPUTER TIMEX 2068 ze stacją dysków i osprzętem 1,9 mln. Łódź, tel. 36-10-21
- POWIEKSZALNIK „Krokus” 35 SL z osprzętem – 400 tys. Łódź, tel. 58-33-21
- LAKIER do podłóg Urelak „S”, 20 l, cena 750 tys. Łódź, tel. 43-53-45
- GRAMOFON „Fryderyk”, wzmacniacz WS 303, tuner „Faust”, magnetofon 8010. Łódź, tel. 32-27-82
- SPRZEDAM garaż, 35 mln. – okolice Radiostacji. Łódź, tel. 32-31-42
- SPRZEDAM maszyny szwalnicze LZ-3 2,5 mln. i overlock. Wiadomość w sklepie Łódź, ul. Gdańska 77a
- SPRZEDAM maszynę wieloczynnościową, stolarską – imp. ZSRR, cena 1,5 mln. Łódź, tel. 33-51-25
- SUSZARKI przemysłowe: 50 kg – 5 mln, 15 kg – 3 mln. Łódź, tel. 51-36-17

LOKALE, NIERUCHOMOŚCI

- ŁÓDŹ, 3ha, wodociąg, siła – 180 mln. Łódź, tel. 52-80-81
- SPRZEDAM działkę rekreacyjno-budowlaną 30 tys m² – las, woda k/Zgierza. Biała k/Zgierza Jan Jarota
- SPRZEDAM lub wydzierżawię działkę budowlaną 500 m². Łódź, tel. 84-89-40
- POŁOWE bliźniaki w stanie surowym sprzedam. Cena 330 mln. Łódź, tel. 84-89-40
- M-2 sprzedam. Łódź, tel. 32-62-63
- POKOJE, wszelkie wygody, garaż wynajmę. Zgierz Chelmy, ul. Klonowa 9
- 2 pokoje z kuchnią – Łódź (bloki, telefon) do wynajęcia. Cena 2 mln. miesięcznie. Jan Jarota Biała k/Zgierza
- M-3 w Łodzi zamienię na podobne w Warszawie. Łódź, tel. 51-03-57
- AGENCJA mieszkaniowa „Interlocum” Łódź, ul. Piotrkowska 94, tel. 32-31-42 – wynajem, zamiana, kupno-sprzedaj mieszkań i nieruchomości
- ZAMIENIĘ 4 pokoje z kuchnią, telefon, os. Matejki na 2 pokoje z kuchnią i telefonem, osiedle Retkinia-Zachód. Łódź, tel. 32-31-42
- WILLE sprzedam, 950 mln. Łódź, tel. 78-27-09
- SPRZEDAM dom z działką, 850 mln. Łódź, tel. 33-51-25 w godz. 10-18
- WYDZIERŻAWIĘ lokal biurowo-usługowy w centrum, lub inne propozycje. Łódź, tel. 81-33-86

USŁUGI

- MASAŻ klasyczny u klienta. Tomasz Czamecki Łódź, ul. Turowska 14/18 tel. 52-49-75
- UKŁADANIE glazury, terakoty, marmuru. Łódź, tel. 31-93-08 od 17 do 20.
- BIURO Usług Turystycznych „EMA” Bełchatów, ul. Czapliniecka 19, tel. 28-354. Wczasy krajowe i zagraniczne, wycieczki, lekcje tenisa, bilety LOT.
- NAPRAWA telewizorów kolorowych, również produkcji zachodniej. Łódź, tel. 48-10-24.
- RTG zębów, nowe metody leczenia oferuje ci prywatna klinika stomatologiczna. Łódź, ul. Gdańska 91/93
- UKIADANIE komfortowej wykładziny ściennej z korka, tel. 81-00-33
- ZAKŁAD poligraficzny Łódź, ul. Piotrkowska 92, tel. 32-28-55 oferuje tanie bilety wizytowe, druki.
- PRACOWNIA futer oraz komis zaprasza Szanownych Klientów. Łódź, ul. Piotrkowska 92

RÓŻNE

- OFERUJĘ bogaty zbiór różnorodnych psychotestów. Koptera + znaczek. Sieradz box 6.
- KORESPONDENCYJNY kurs maszynopisania. Informacje i zgłoszenia: koperta + znaczek, Sieradz box 6.
- POSZUKUJĘ informacji o medytacji i reinkarnacji. Jacek Rzońca 91-101 Łódź 52 skr. 80.
- KAPELE do Francji potrzebują. Jan Kaszuwara 97-500 Radomsko, ul. Mickiewicza 29
- MONETY, antyki, znaczki sklep skup – sprzedaż, Łódź, ul. Piotrkowska 92

PRACA

- ZAGRANICZNE oferty pracy bezpośrednio od pracodawców – „Alfa”, Skierniewice skr. 86
- PRZYJMĘ proste chałupnictwo – pilnie. Gwarantuję uczciwość i solidne wykonanie. Za pobraniem nie przyjmuję. Leokadia Grzegorz, Konstancynów, ul. 1 maja 39
- MŁODA, zdolna poszukuje pracy w sektorze prywatnym. Łódź, tel. 33-42-66
- STUDENT z samochodem poszukuje pracy. Łódź, ul. Beskidzka 110

BIZNES

- TANIO! Dresy ocieplane, kurtki – kresz. Łódź, ul. Składowa 11 m. 23, tel. 52-30-37
- ODZIEŻ, chemia, pasmanteria – hurtownia „Matima”. Łódź, ul. Zbąszyńska 3, tel. 51-49-21 wew. 271 w godz. 8-16. Zapraszamy!
- SPRZEDAŻ odzieży używanej, na wagę – największy wybór. Łódź, ul. Gdańska 77a.
- ZAKŁAD krawiecko-szwalniczy poszukuje odbiorców chodzików dla dzieci od 0,5-1,5 roku, oraz stelaży do plecaków. Łódź, tel. 86-35-83
- PH „MARTIN” oferuje gumy do żucia, lizaki, słodycze. Łódź, ul. Piotrkowska 94, tel. 32-57-42, 81-77-05
- SPRZEDAŻ ciągła kalduńców wołowych. Łódź, 32-57-42, 81-77-05 w. 208.
- HURTOWA sprzedaż papierosów. Łódź, ul. Lokatorska 11.
- KANTOR-LOMBARD „Oscar” zaprasza Szanownych Klientów. Łódź, ul. Piotrkowska 94
- NAJWIĘKSZY wybór tapet w Łodzi zapewni ci sklep Piotrkowska 90 (w bramie)
- AUDIO-VIDEO Shop zaprasza po telewizory – 3,95 mln, video – 3,95 mln, odtwarzacze – 2,45 mln. Łódź, ul. Piotrkowska 90.
- BOGATY wybór nasion oferuje „Austrosaat”, hurt i detal. Łódź, tel. 32-08-71
- PRYWATNA księgarnia, Łódź, ul. Piotrkowska 84 zaprasza klientów i dostawców.
- BIELIZNE, o której marzysz oferuje „Bay-sklep”. Łódź, ul. Piotrkowska 84.
- SKLEP „Dent” oferuje materiały i narzędzia stomatologiczne. Łódź, ul. Piotrkowska 84
- SEMICONDUCTORS Bank Ltd, sklep firmowy ul. Piotrkowska 82, tel. 32-23-18 oferuje szeroką gamę elementów elektronicznych (układy scalone, diody itp.).
- SKLEP z odzieżą używaną na wagę zaprasza klientów. Łódź, ul. Pojezińska 56

TOWARZYSKIE

- 4 dziewczyny po studiach poznają towarzystwo na sylwestra. Mariola Soboń, Łódź, ul. Boya-Zeleńskiego 3 m. 57
- „ELITA” zaprasza panie, panów. 92-544 Łódź, ul. Czernicka 16 box 37 – korespondencyjne

- ATRAKCYJNE panie szukają partnerów – „Erotyk”, Łódź 12, skr. 1
- AGENCJA „Sekret” – największą szansą małżeństwa z cudzoziemką. Skierniewice skr. 86
- DWÓCH sympatycznych kawalerów zapewni dobrą zabawę andrzejkową. Oferty: Redakcja „Odgłosów”, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5

MOTORYZACYJNE

- ZASTAWA 1100, –1978 r., cena 8,5 mln. Łódź, tel. 33-99-60 w. 445 do godz. 14
- AUDI 80 CL diesel – 1982 r., przebieg 150 tys. km, cena 45 mln. Krzysztof Leśkiewicz Łódź, ul. Kruczkowskiego 1 m. 54, tel. 81-20-83
- SPRZEDAM wołgę GAZ-24. Łódź, tel. 42-92-02 po 18.
- MECHANIKA samochodowa, także u klienta. Walczak, Łódź, tel. 74-73-74

ZYCZENIA

- Leszkowi Grabowskiemu Łódź, ul. Księdza Popieluszki, w dniu 40. urodzin najlepsze życzenia składa Jarka z Asią
- Serdeczne życzenia imieninowe dla Katarzyny Sołdoń, Łódź, ul. Nowy Świat – składa rodzina.

PRZESIĘBIORSTWO HANDLOWO USIUGOWE:

- ❖ Sprzeda skrzynek (kontenery) na alkohol
- ❖ posiada wolne moce przerobowe na zgrzewanie (folia – worki, rozmiary nawet do 3 m)

tel. 52 64 13

Sprzedam kompletne wyposażenie pracowni krawieckiej lub pojedyncze maszyny (stoły krawieckie), ścińki materiałowe, dodatki krawieckie.

tel. 84-73-64 od 18-20

* PRZEDSIĘBIORCO *

Jeśli prowadzisz interesy na terenie Związku Radzieckiego i posiadasz ruble ZGŁOŚ SIĘ DO NAS.

Oferujemy na okres 6 MIESIĘCY 40 miejsc wypoczynkowych wraz z całodziennym wyżywieniem w luksusowym hotelu na KRYMIE.

Płatność w rublach na konto firmy w Związku Radzieckim.

Blizsze informacje: Łódź, tel. 32-61-79 w. 114 i 115

„GALAXY MOTORS”

sprzedaż samochodów europejskich i amerykańskich

Marek Wojciechowski
Konstancynów Łódzki,
ul. Łódzka 162,
tel. 86-79-13

Hurtownia Artykułów Papierniczych

poleca wyroby na licencji The Walt Disney Company:

- ➔ kalendarze
- ➔ zeszyty
- ➔ bloki rysunkowe
- ➔ malowanki
- ➔ karty świąteczne i wiele innych

Zapraszamy od 9 do 12.
Łódź, ul. Wspólna 6

Reklama w „Odgłosach” to reklama przez cały tydzień!

Oferujemy usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej – 6 tys. zł za 1 cm² (minimalna powierzchnia ramki 25 cm²)
 - reklamy na pierwszej stronie – 100% dodatku (powierzchnia nie może być większa niż 150 cm²)
 - reklama na ostatniej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 200 cm²)
 - reklama na pozostałych stronach 30% dodatku
- Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całostronicowej – 10% dodatku, przy pozostałych – 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach – piąte zamieszczamy bezpłatnie!
- Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji i opracowanie graficzne do uzgodnienia.

Ceny: całostronicowa publikacja – 10 mln zł, półstronicowa 6 mln zł, ćwierćstronicowa 4 mln zł

Ogłoszenia przyjmowane są w:

- „Odgłosach” ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE” ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogl. i Rekl. „Epoka” al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour” ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

Zasady przyjmowania ogłoszeń drobnych bezpłatnych

1. Ogłoszenie nie powinno przekraczać 10 słów
2. Za 11 i każde następne słowo opłata wynosi 5000 zł.
3. Każde ogłoszenie dotyczące sprzedaży powinno zawierać cenę
4. Ogłoszenie o sprzedaży samochodu powinno zawierać: markę, rocznik, przebieg km, cenę.
5. Ogłoszenie z zawiadomieniem o urodzinach niemowląt powinno zawierać imiona i nazwiska rodziców, nazwę szpitala, godzinę i datę urodzenia, długość i wagę noworodka, płeć niemowlęcia.
6. Ogłoszenie należy nadesłać pod adresem redakcji na zamieszczonym obok kuponie bądź też osobiście złożyć w redakcji, Sienkiewicza 3/5 XI piętro.
7. Redakcja zastrzega sobie prawo niepublikowania ogłoszenia bez podania przyczyny.
8. Ogłoszenie bezpłatne do 10 słów można nadesłać pocztą na kuponie zamieszczonym poniżej.
9. Ogłoszenia zawierające więcej niż 10 słów, wymagające opłaty za 11 i każde następne słowo, przyjmowane są w lokalu redakcji – Łódź, Sienkiewicza 3/5 oraz na giełdzie samochodowej w Łodzi na Widzewie-Wschodzie.

CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”.

KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy” 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

Treść:

(imię i nazwisko) (adres) (telefon)

(data) (podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

● Podpisanie ustawy emerytalnej przez pana prezydenta RP ZJM komentuje:

Zadziwimy teraz sąsiadów:
DYNAMICZNYM PRZYROSTEM... dziadów!

● Plotka o ucieczce Dariusza Przywiczskiego, prezesa Uniwersalu, przedsiębiorstwa, którego akcje jeszcze nie tak dawno reklamowano jako Bóg wie jaki interes, okazała się nieprawdziwa. Prezes nie wyjechał w popłochu do Londynu, tylko siedzi w swoim warszawskim mieszkaniu i leczy grype. I całe szczęście. Bo inaczej prezydent Wałęsa znów musiałby apelować do patriotycznych uczuć Polaków i namawiać ich, żeby skoczyli do Anglii, złapali prezesa i odtransportowali go do Ojczyzny. Albo co gorsza, z braku chętnych, musiałby to zrobić sam. Tak, jak to zamierzał w przypadku prezesa Bągika z Art-B.

● Po raz któryś tam z rzędu obradowała Rada Kultury. Obrady były ściśle tajne, to znaczy nie wpuszczono na nie dziennikarzy. Po zapewne owocnej dyskusji nie ogłoszono żadnego komunikatu. Bo, zapewne, kulturalnym członkiem Rady znane jest powiedzenie: - Ciszniej nad tą trumną!

● Po tygodniu przerwała głodówkę radna z Zamościa, pani Maria Krzyżanowska. Przewieziono ją do szpitala. Radna w ten sposób protestowała przeciwko manipulacjom prezydium zamojskiej Rady Miejskiej, ale przede wszystkim przeciwko dietom, jakie uchwalili



dla siebie tamtejsi samorządowcy. Swoje społeczne posłannictwo wycenili sobie, ni mniej, ni więcej, na 7 (słownie: siedem) milionów zł. Był to już trzeci wniosek o odwołanie prezydium rady i - jak się łatwo domyślić - po raz trzeci odrzucony. Co prawda w innych rejonach Polski dieta radnych waha się w granicach tylko 3-4 mln zł, ale i tak możemy w przyszłość patrzeć z optymizmem. Społeczników na pewno u nas zabraknie.

● Najpierw Prokuratura Rejonowa Warszawy Śródmieście poinformowała prasę, że dzień po wyborach policja otrzymała polecenie zatrzymania Bolesława Tejkowskiego, lidera Polskiego Stronnictwa Narodowego Wspólnota Narodowa, pod zarzutem łżenia narodu polskiego, organów państwowych, a także jego zajadłych wystąpień antysemickich. Prokurator oświadczył, że Tejkowski nie otwiera drzwi i nie przyjmuje poczty. Trudno dociec, jak działała policja, ale reporter „Globo 24” bez trudu odnalazł przewodniczącego w biurze jego partii przy ul. Hożej. I nawet z nim porozmawiał.

● Przed meczem Polska-Anglia w Poznaniu obficie nas raczono opowieściami, jak to nasza policja przygotowuje się do ewentualnego odparcia ataków angielskich kibiców-chuliganów. Policja nie przewidziała jednak, że angielscy chuligani przyjadą do Poznania o dzień wcześniej niż zaplanowała sobie godzinę „zero”, czy jak to się tam nazywa. Pięćdziesięciu chuliganów zdemolowało więc klubową restaurację „Moon Light”. Demolacji przyglądali się policjanci. Nie ma się co dziwić, że nie interweniowali. Było ich tylko sześciu! W tej nocy również nie będzie żadnego komentarza. Mimo wszystko z policją wolimy jednak nie zadzierać.

● Z miesznanymi uczuciami przyjęliśmy informację, że rozpoczyna działalność Polska Partia Trzeźwości Narodu. Bo program mają jak najbardziej słuszny - walkę z alkoholizmem. Ale przez moment mieliśmy nadzieję, że idzie o trzeźwość umysłów.

● W ubiegłym tygodniu donosiliśmy, iż źródła dobrze poinformowane twierdzą, że „dogorywająca RSW Prasa dopłaciła miliard zł do „Głosu Porannego” chroniąc w ten sposób gazetę przed ostatecznym upadkiem”. I że nie chce nam się dociekać, skąd RSW Prasa wzięła na to pieniądze. Jeszcze lepiej poinformowane źródło wyjaśniło nam co następuje. Pod koniec października „Głos Poranny” miał deficyt ponad miliard zł. Spółka „Assico”, która wygrała przetarg na gazetę, zwróciła się do Łódzkiego Likwidatora Prasy o umorzenie tego deficytu. Likwidator wyraził zgodę. (W tym miejscu z szacunkiem kłaniamy się prof. Zirk-Sadowskiemu za jego pierwszą, błyskawiczną i udaną akcję zlikwidowania „Odgłosów” i wyłania wszystkich pracowników na bruk. Nasz ówczesny deficyt wynosił coś około 40 milionów zł.). Tak więc spółka „Assico” przejęła od 1 listopada „Głos Poranny” bez dodatkowych, nie zawinionych przez siebie kosztów. Alifci już od około 15 listopada coraz głośniejsze było o tym, że nowy właściciel gazety coraz energiczniej szuka chętnego, któremu by „Głos Poranny” z przyjemnością odsprzedał. Za tę samą cenę, bez żadnego zysku. Ponoć zgłosił się do kierownictwa gazety dziennikarz, który miał wszystkie doświadczenia z „Głosu” się niedawno zwał. Chce teraz gazetę kupić. Tak czy owak, jak zawsze eleganckim szefem „Głosu Porannego”, na nowej drodze życia składamy życzenia.

B.M.

CZYTELNICZY PISZA

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Niczego nie rozumiem!

Nie wiem, czy w końcu wyjdzie mi to na zdrowie psychiczne, ale staram się ciągle jeszcze nadążyć za lotnymi umysłami naszych polityków i zrozumieć o co im tak naprawdę chodzi. Przyznam, że idzie mi to z coraz większym trudem.

Przed wyborami przecierałam oczy ze zdumienia oglądając i słuchając panów polityków z najprzeróżniejszych partii, którzy zgodnym chórem bili w rząd jak w kaczy kuper. Jednocześnie ci sami panowie deklamowali wzniosłe słowa o etosie, pniu, potrzebie połączenia wspólnych wysiłków. No, ale przecież ci wszyscy panowie pochodzą z tego pnia. I rząd, który tak jednomyślnie krytykowali też z tego samego pnia i etosu się wywodzi. A może oni tylko zρέcznie się w odpowiednim czasie do tego pnia przycepiłi? Jeśli tak, to wszystko jasne. Tylko proszę mi to uczciwie powiedzieć, a nie robić wody z mózgu. Zanim jeszcze mniejszość wyborców, nie zapominajmy, że tylko 42 proc., poszła do urn, wszyscy kandydaci niemal przysięgali, że chodzi im tylko o Polskę. Wyborcy swoją wolę wyrazili, powiedzieli w demokratyczny sposób rządzącym i nowej przewodniej sile narodu, co naprawdę o nich myślą. I co? Ano po wyborach już się nie mówi o Polsce, po wyborach tworzy się koalicja partii, które w istocie te wybory przegrały i nasi wielcy, choć często mali wzrostem, politycy już nie umieją ukryć, że gra idzie o zaspokojenie przede wszystkim ich nie wyżytych ambicji. Dziennikarz „Wprost” pyta na przykład pana Moczulskiego, kto powinien zostać premierem. No kto? Oczywiście, że mógłby nim zostać sam pan Moczulski. No, a w najgorszym przypadku musi zostać ministrem obrony narodowej, bo ma ku temu odpowiednie kwalifikacje. Przepraszam bardzo, dlaczego ja mam w te kwalifikacje wierzyć? Ja już uwierzyłam w 1989 roku. Co teraz czasem sobie myślę, pisać nie wypada, bo to słowa niezbyt parlamentarne.

Nie rozumiem również naszego Pana Prezydenta Najjaśniejszej III Rzeczypospolitej i jego doradców. Pan Prezydent powiada, że może również zostać premierem. Bóg z nim (gorzej z nami), jak koniecznie musi, niech zostanie. Tylko dlaczego doradcy Pana Prezydenta, którzy zdaje się biorą jakieś pieniądze - a czyżby one są? - nie przedyskutują z panem Wałęsą tak podstawowej sprawy, jak ta: czy Konstytucja RP zezwala na łączenie funkcji prezydenta i premiera? Poza wieloma komplikacjami, jakie by ta fuzja przyniosła (Lech Wałęsa często lubi mówić, że prawo mu

przeszkadza i on by je rozpychał, czy też wymijał), byłoby dość śmiesznie, gdyby w którymś momencie Sejm wyraził wotum nieufności dla rządu, którego premierem byłby Pan Prezydent Wałęsa. Premier musiałby ustąpić. A co zrobiliby obadszony w podwójnej roli Prezydent? I śmieszno, i straszno.

Nie tak dawno Lech Wałęsa nawoływał Polaków, żeby sprowadzili siłą do Polski Bogdana Bągika, słynnego szefa słynnej spółki Art-B. Bo jak nie robi tego jakiś prawdziwy patriota, to będzie musiał to zrobić sam Pan Prezydent. Przecież to jest namawianie do naruszenia praw człowieka, o które kiedyś walczył sam Lech Wałęsa. Przecież jeszcze żaden sąd w Polsce nie udowodnił winy pana Bągika! A poza wszystkim, to hasła głoszone publicznie przez Pana Prezydenta to nic innego jak nawoływanie do terroryzmu. I to mówi Głowa Państwa. I znowu mam pytanie do doradców Prezydenta. Czyż Panowie nie słuchają, co mówi Szeff? A co robi prywatny Spowiednik Lecha Wałęsy? Czyż Prezydent nie grzeszy, jako katolik z Matką Boską w kłapie, i w mowie, i w myśli?

Był czas, kiedy dziennikarze głosili jedynie słuszne poglądy podstępniowane często pieczęcią: dozwolone przez cenzurę. Czasami przez cenzurę prosto z Moskwy. Społeczeństwo słusznie wypisywało na murach hasła: Prasa kłamie! Dożyliśmy wreszcie lepszych czasów i jakby niewiele się zmieniło. Nie, przepaszam, zmienił się kierunek skąd wiatry wieją. Teraz na kłęczkach przyjmuje się to, co do nas mówi nie najrzeczniejszy doradca prezydenta Cartera, pan Zbigniew Brzeziński, albo i słynny Kurier z Warszawy, Nowak- Jeziorski. W III programie Polskiego Radia wystąpił niedawno jakiś korespondent pisma amerykańskiego, Radek Sikorski. Słucham i uszy przecieram! Pan Sikorski załamuje ręce, że teraz Polska nie wybrała anglosaskiego modelu cywilizacji, modelu opartego o protestantyzm! Sikorski mówi to w katolickiej Polsce, tak jakby znalazł się tu siły, zdolne do tak fundamentalnego przewrotu. Dziennikarze, którzy go do studia zaprosili nie usiłują nawet z nim polemizować. Bo znów słuchają na kłęczkach!

Droga Redakcjo! Czy w tej rzeczywistości, w której żyję nie mam podstaw do obaw o swoje zdrowie? I to właśnie o zdrowie psychiczne? A może jednak nie damy się zwariować?

Zofia Kazimiera W.

(nazwisko i adres do wiadomości Redakcji)

Mylilem się!

Panie Wołodkiewicz; nie wyobraża Pan sobie jak wielką przyjemność sprawił mi Pan swoim listem opublikowanym 17 XI na tychże lamach! 27 października w wydaniu zamieszczonym w 23 numerze „Odgłosów” grzmiałem; idąc czasy ciemnoty i obskurantyzmu! - Mylilem się! Mówilem głupstwa! - Pański list jest świadectwem, że żyje już w kraju ludzi mądrych, kulturalnych, w kraju wolności słowa. Krótko mówiąc, że po tych pierwszych demokratycznych znaleźliśmy się automatycznie i nieodwracalnie po od dawna się nam należącej Stronie Zachodniej. Co więcej: blogostawione skutki tego stanu rzeczy spłynęły na mnie za Pana sprawą w sposób mogący przyprawić o zawrót głowy. Oto bowiem zrozumiałem, że nie jestem już zazdroścującym swoim aktorem scenicznej popularności reżyserem o nieznaną twarz, ale że stałem się kimś na kształt Michaela Jacksona czy Madonny. - Każdy mój krok - jak to wynika z Pana wyznań - jest śledzony, każde pojawienie jest odnotowywane. Na razie ujawnił się jedynie Pan, ale rozumiem, że Pan tylko reprezentuje grono anonimowych Jacków Wołodkiewiczów. Teraz idąc do teatru będę już wiedział, że któraś para oczu na widowni, miast śledzić perypetie scenicznych bohaterów, czujnie łowi w ciemności błyski moich soczewek kontaktowych. I będę wiedział że ten wzrok należy do Pana, Jacku Wołodkiewicz! Więcej: będę miał pewność, że odnotuje Pan w swoim dzienniczku kolor mojego krawata, czym ułatwi Pan pracę przyszłym historykom teatru. A kiedy się tych notatek uzbiera - pośle Pan je do jakiejś gazety.

Zdumiewa mnie Pańska przenikliwość. Nie tylko odgadł Pan, że redaktor Andrzej Musiał jest moim przyjacielem, ale na dodatek usytuował go jako satelitę najbliższego (to znaczy: mnie). Obawiam się jedynie, że pozostali moi przyjaciele popadną względem redaktora M. w zawiść i kto wie jak się to dla niego wówczas skończy. - Kto wtedy będzie, ku Pana radości, przeprowadzał ze mną wywiady? - Ale ujawnię panu ujawnię: redaktor Musiał jest nie tylko moim przyjacielem. Jest także moim współpracownikiem literackim. Ostatnio np. napisał esej do programu spektaklu, który właśnie przygotowuje. Swoją drogą: jak Pan rozpoznaje „niejakiego” Musiałę wśród tyłu innych „ludzi z ulicy”? - Jakkolwiek by było polecam Panu uważniejszą lekturę prasy w której „niejaki” publikuje. Ponieważ przewiduję również rozkwit oświaty w najbliższej przyszłości, będzie Pan mógł nadrobić zaległości i poznać „człowieka z ulicy” jako „człowieka ze szpalt”.

Co do trybu przypuszczającego, użytego wobec niektórych z zamierzonych przeze mnie prac reżyser-

skich, to wszystkiemu winna moja fałszywa przedwyborcza świadomość. - Teraz już wiem: ani jeden teatr nie zostanie zamknięty, więcej: będą powstawać nowe, a dotacje na kulturę wzrosną wielokrotnie, więc niniejszym uczciwie gwarantuję: zrobię wszystko, co obiecałem a nawet podejmę się przekroczenia planu premierogodzin. A gdyby, mimo to, pieniądze zabrakło, wiem, że mój cichy, skromny wielbiciel nie pozaluje grosza. Aha, wyjaśniam: wszystkie te „warszawskie” realizacje zostały mi zaproponowane. Więc nie pochodzą ze sfery marzeń, ani nie musiałem o nie specjalnie zabiegać. (Nawiasem mówiąc: jak na tegoroczny absolwent Wydziału Reżyserii Dramatu myślę, że mam całkiem przyzwoity dorobek artystyczny. W poszukiwaniach odsyłam Pana do wykazu polskich premier z lat: 1988, 1990, 1991.)

Przyznam się Panu do czegoś na koniec: ja jednak chciałbym Pana zobaczyć! Poczyniłem w tym celu nawet pewne starania - pytałem o Pana kogo tylko mogłem. Ale bezskutecznie. Przyszedł mi do głowy np. pomysł, że może jest Pan jakimś niesłusznym nie dopuszczanym na lamy prasy dziennikarzem. Ale, niestety, z mojego rozeznania wynika, że dla tego środowiska jest Pan człowiekiem z ulicy. Pomyślałem również, że może Pan być kimś, komu odmówiłem autografu. I z zemsty... Ale zaraz tę myśl odrzuciłem: autografu nigdy nie odmawiam. Nawet wówczas, gdy prosi o niego spora grupa ludzi. - Jak wówczas, gdy na moje poprzednie przedstawienie w Teatrze Studyjnym („Czerwone pantofelki Eliski” wg Hrabala) przyjechała uymyślna wycieczka z Augustowa. - Więc może przyszedł Pan na moją najnowszą premierę do Teatru Studyjnego w dniu 30 XI? - Jeśli się Pan ujawni obiecuję panu program z dedykacją. Zapraszam też na konferencję prasową, która odbędzie się po spektaklu. Być może zdecyduje się wówczas podać publicznie numer moich butów i kołnierzyka. A kto wie, może ujawnię więcej... Zapowiedział się już redaktor Musiał. Myślę, że również nie odmówi Panu autografu. A jeżeli się Pan postara, to może po znajomości obstaruje Pan nawet u niego wymarzony wywiad z Pańską Babcią. (Jestem pełen uznania dla szacunku, jakim ją pan darzy.) A może i Panu uda się wtrącić parę słów i nareszcie wszyscy się dowiedzą że jest, że istnieje ktoś, kto się nazywa Jacek Wołodkiewicz?! - Czekać z niecierpliwością!!!

Piotr - Bogusław Jędrzejczak

PS. Jeszcze drobniak, taki kaprys sławnego człowieka: nie mam na imię Piotr, tylko tak właśnie, jak wyżej.

Wszyscy wiedzą, jaki powinien być nauczyciel. Według Janusza Korczaka osoba pracująca z młodzieżą musi przede wszystkim wykazywać zrozumienie i poszanowanie dla swoich podopiecznych; jest to nawet ważniejsze niż przygotowanie merytoryczne. Od nauczyciela oczekuje się, aby był bardziej przyjacielem niż wychowawcą.

Tymczasem w Zespole Szkół w Łodzi przy ul. Pojezierskiej panuje iście pruski dryl. Widok uczniów stojących przed klasą na baczność 3 minuty przed dzwonkiem na lekcję, nieodparcie koryżarzą się bowiem ze świetnie „wytresowanym” wojskiem Fryderyka I, w którym musztra zastępowała jakiegokolwiek więzi interpersonalną. Kim jest nauczyciel, który zaprowadził taki „porządek”?

Nielatwo uzyskać o nim informacje. Uczniowie i rodzice boją się rozmawiać na ten temat - jest to w pewien sposób zrozumiałe. Dziwi natomiast, że nawet nauczyciele niechętnie wypowiadają się na temat swojego kolegi, chociaż bynajmniej nie darzą go sympatią. (Stosując swego rodzaju bojkot - to znaczy nie utrzymując z nim kontaktów). Jednak znaleźli się odważni, którzy postanowili walczyć z terrorem i zastraszeniem.

Prusak w szkole

Mówią uczniowie:

„ Jest to człowiek, który nie darzy ucznia żadnymi uczuciami. Na lekcji u pana Rollofa nie można się o nic zapytać, wyrzuca ucznia za drzwi, stawia jedynkę i wyzywa od idiotów.”

„Ten pan profesor bardzo szybko dyktuje. Nikt z uczniów nie może nadążyć pisać. Jeżeli ktoś prosi o powtórzenie wyrazu albo zdania natychmiast wylatuje za drzwi z oceną niedostateczną. Trzy tygodnie temu na lekcji obróbki skrawaniem, którą prowadzi pan Rollof zdarzył się nieprzyjemny incydent. Jeden z naszych kolegów przyniósł dyktafon, aby później cała klasa mogła przepisać nagrany wykład. Kiedy Pan Rollof zobaczył dyktafon, wyciągnął z niego kasetę i następnie zniszczył ją na oczach wszystkich uczniów. Ubiłwał wyzywać nas od SB-ków, kagiebiów i szpiegów.”

„Traktuje nas jak przysługów. Ciągłe mówi o swoim synu, który wyemigrował do Niemiec i pracuje tam w jakiejś firmie. Jakie to RFN stosuje technologie, jak tam jest wspaniale, a my dużo jeszcze musimy zrobić, żeby wejść do Europy. Polacy nic nie potrafią, a tacy jak wy: „NIE ZAŚLUGUJĄ NAWET ABY NIEMCOM CZYSZCĆ BUTY.”

Zaniepokojeni rodzice postanowili złożyć protest na ręce dyrekcji szkoły. 20 listopada dyrektor ma poinformować rodziców, co uczyni w tej sprawie. Rodzice i uczniowie domagają się natychmiastowego usunięcia pana Alfreda Rollofa ze szkoły.

Sytuację komplikuje fakt, że dyrektor zaprzecza, jakoby otrzymał jakąkolwiek petycję rodziców. Przyznaje jednak, że pan Rollof jest człowiekiem wyjątkowo wymagającym i konfliktowym. Zapytany, czy wie, że profesor użył obraźliwych słów na temat Polaków, dyrektor odparł, że wie, tylko zależy w jakim kontekście je wypowiedział.

Niektórzy rodzice pamiętają postępowanie pana Alfreda Rollofa z własnego doświadczenia, z czasów, kiedy uczyli się w szkole wieczorowej. Wnioskowali wówczas skargi do kuratorium, lecz nie odnosiło to żadnych skutków. Sądzą, że ten człowiek miał rozległe powiązania i układy zarówno w przeszłości jak i obecnie. Tym razem rodzice postanowili nie poprzestawać na zdawkowych obietnicach dyrekcji i panów z kuratorium. Jeżeli będzie trzeba, to odwołają się nawet do ministerstwa.

Należało jeszcze porozmawiać z drugą stroną. Jednak od pana Rollofa nie udało się uzyskać żadnych wypowiedzi oprócz następującej: „po co pan przyszedł, ja nie potrzebuję żadnych uwag, proszę stąd wyjść.”

Trzeba wspomnieć, że ten „utalentowany” pedagog pełni funkcję przewodniczącego NSZZ „Solidarność” w tejże szkole.

Artur Andrzejewski

WSZELKIE TŁUMACZENIA

● szybko

● tanio

● fachowo

Stowarzyszenie Tłumaczy
Polskich
Łódź, ul. Wschodnia 32
tel. 33-65-80

23
SOBOTA

Felicity
Klemensa

PROGRAM I

7.30 Program dnia
7.35 Wszystko o działce
8.00 Wiadomości poranne
8.10 Rynek – Agro
8.45 Na zdrowie – program rekreacyjny
9.00 Ziarno – program redakcji katolickiej
9.25 5 – 10 – 15 – program dla dzieci i młodzieży
10.30 Język angielski dla dzieci (33)
10.35 Wojownicze żółwie Ninja – serial prod. USA

10.55 Wojskowy progr. publ.
11.20 Szkoła pod żaglami
11.50 Wiadomości
12.00 Z Polski rodem
12.40 My i świat
13.00 Siódemka w Jedyńce
14.00 Walt Disney przedstawia: Kacze opowieści
15.15 Czas rodzin
15.45 Kto się boi szkoły?
16.25 Film dokumentalny
16.55 Katolicki magazyn młodzieżowy
17.15 Teleexpress
17.35 Z kamerą wśród zwierząt

17.55 Wizje
18.20 Detektyw w sutannie – serial prod. USA
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.00 Polskie zoo
20.20 Luizjana – serial produkcji USA
22.00 Temat: Maszt – emocje i fakty
22.35 Sportowa sobota
23.05 Wiadomości wieczorne
23.50 Uciekający człowiek – film fabularny prod. USA

PROGRAM II

10.10 Magazyn telewizji śniadaniowej
11.00 PKF
11.10 Akademia polskiego filmu: Ostatni dzień lata
12.20 Ojcowie hard rocka
13.00 Zwierzęta świata
13.30 Klub Yuppies?
14.00 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
14.40 Ekspres reporterów
15.20 Vademecum teatromana
16.00 Teleturniej
16.25 Losowanie Toto-Lotka

16.30 Panorama
16.45 Pan wzywał, milordzie?
17.30 Jetsonowie
18.00 Program lokalny
18.30 Film baletowy
19.15 Bez znieczulenia
19.30 Z ziemi polskiej
20.00 Koncert laureatów (1) X Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego
21.00 Panorama
21.20 Słowo na niedzielę
21.30 Koncert laureatów (2)
23.30 Rock noc (1)
24.00 Panorama
0.05 Rock noc (2)

PROGRAM I

7.55 Program dnia
8.00 Tydzień
9.00 Teleranek
10.00 Język angielski dla dzieci (34)
10.05 Chłopiec z Andromedy (5) – serial prod. nowozelandzkiej
10.30 Al-Kibla – kierunek na Mekkę (11) – Palestyna po diasporze – serial dokum. prod. hiszpańskiej
11.00 Notowania, czyli co się oplaca rolnikowi

11.25 Telew. koncert życzeń
11.55 Wojskowy program dokumentalny
12.20 Teatr dla dzieci: Juriji Kinoshita „Wieczorny żuraw”
13.15 Magazyn Morze
13.55 Drogi do niepodległości (4 – ost.) – film dokumentalny Jerzego Ziarnika
14.30 Smak życia
15.10 Teatr i polityka – Dziady 1967/68 – film dokum.
15.45 Telewizjer
16.10 Telewizyjny teatr rozmaitości – Peter Schaffer „Białe kłamstwa”

17.15 Teleexpress
17.35 Reportaż
18.10 Synowie i córki (8) – serial prod. USA
19.00 Wieczorynka – Walt Disney przedstawia „Gumisie”
19.30 Wiadomości
20.10 Ryzykant (5) – serial prod. angielskiej
21.00 Sportowa niedziela
21.20 7 dni świat
21.50 Wokół wielkiej sceny – magazyn operowy Piotra Nędzińskiego
22.30 Wiadomości wieczorne

PROGRAM II

10.00 CNN
10.20 Program lokalny
10.50 Magazyn przechodnia
11.00 Wspólnota w kulturze
11.30 Podróże w czasie i przestrzeni
12.20 Program ekologiczny
13.00 Express Dimanche
13.15 100 pytań do...
13.55 Rebusy – teleturniej
14.15 Kino familijne: Daktari (13) – serial prod. USA
15.05 Program artystyczny
16.25 Program dnia

16.30 Panorama
16.40 Program Wojciecha Manna i Krzysztofa Materny
17.10 Studio sport
18.00 Bliżej świata
19.00 Wydarzenia tygodnia
19.30 Galeria Dwójki – David Nash i Leon Tarwsewicz
20.00 Przeboje Bogusława Kaczyńskiego
21.00 Panorama
21.20 Farma Orowhaven – film fabularny prod. USA
22.30 Wartości – galerie
23.00 Okolice Jazzu
24.00 Panorama

PROGRAM I

13.25 Wiadomości
13.55 – 16.00 Telewizja edukacyjna
13.35 Język francuski (10)
14.15 Język niemiecki (12)
14.50 Język angielski (12)
15.20 Uniwersytet nauczycielski
16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Luz – program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.35 Rokendroler
17.55 Sportowy hit

18.05 Kraje, narody, wydarzenia
18.45 Alf – serial produkcji USA
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.10 Teatr telewizyjny na świecie – Carlo Goldoni „Sluga dwóch panów”
22.05 ABC ekonomii
22.15 Recital zespołu „Take 6”
22.45 Wiadomości wieczorne
23.05 Lenin na dobranoc
23.15 BBC

PROGRAM II
16.25 Powitanie
16.30 Panorama
16.40 Sonda – struktura kryształu
17.15 Magazyn piłkarski
17.35 Lekarz też człowiek (11) – serial prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Ojczyzna-polszczyzna – „W niebieskich czy niebieskach”
18.45 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie
19.30 Język niemiecki (9)

20.00 Prawo wyboru (1) – Komuno wróc
20.30 Reportaż
21.00 Panorama
21.20 Sport
21.30 Pery z lamusa: Czarny rynek w Paryżu – film fab. prod. francuskiej reż. Claude Autant-Lara
23.00 Dr. Anatolij Kaszpirowski – seans 1
24.00 Panorama

**Korespondencyjna
Agencja
Matrymonialna**

78-401 Szczecinek 3,
skrytka 12

od 10 lat

kojarzy małżeństwa
zagraniczne.

Napisz do nas załączając swoje
zdjęcie oraz niniejsze ogłoszenie.
Partnera znajdziemy dla
Ciebie bezpłatnie.

PROGRAM I

13.20 Fizyka
13.50 Chemia
14.20 Przygody kapitana Remo
14.35 Tele-komputer
14.55 Sezam
15.15 Świat chemii
15.45 Klub midi
16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Tik-Tak
17.05 Język angielski dla dzieci (35)
17.15 Teleexpress
17.35 Magazyn konsumenta

18.00 Family album
18.20 W Sejmie i Senacie
18.35 Królik Bugs przedstawia
19.00 Wywiad tygodnia
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.10 Najważniejsze wydarzenia XX wieku – film dokum.
21.05 ABC ekonomii
21.10 Zawsze po 21
21.55 Rozmowy z Nikodemem
22.30 Wiadom. wieczorne
22.50 Giełda pracy – giełda szans
23.15 Poezja na dobranoc
23.20 Siódemka w Jedyńce

PROGRAM II
7.30 Panorama
7.35 Rano
8.10 Denver – Ostatni dinozaur
8.35 Telewizja biznes
9.00 Świat kobiet
9.25 Pokolenia
9.45 Rano
10.00 CNN
10.10 Język francuski (8)
10.10 Język niemiecki (8)
16.30 Panorama
16.40 Pokolenia
17.05 Film dokumentalny
17.35 Pod wspólnym dachem (21) – serial prod. fran.

18.00 Program lokalny
18.30 Ciebie, Boga, wysławiamy
18.55 Sztuka świata zachodniego (9) – ser. dokum.
19.30 Język angielski (9)
20.00 Non stop kolor
21.00 Panorama
21.20 Sport
21.30 Dadah znaczy śmierć (2) – serial prod. USA
22.15 Prawo wyboru (2)
23.00 Reduta – prezentacja twórczości Marcela Łozińskiego
24.00 Panorama

ANTYKI

i starocie typu kolekcjonerskiego
oraz prace artystów współczesnych
przyjmuje komis

**SALON
SZTUKI
DAWNEJ
I WSPÓŁCZESNEJ**

45-075 Opole ul. Krakowska 39
I piętro
Czynny codziennie
w godz. 9⁰⁰ – 18⁰⁰
soboty 10⁰⁰ – 14⁰⁰

ZAPRASZAMY!

PROGRAM I

12.50 Poczet nauki polskiej
13.10 Swego nie znacie
13.20 Wokanda historii
14.00 Spotkanie z literaturą
14.35 Telewizyjny słownik biograficzny
15.00 Wielka historia matych miast
15.30 Uniwersytet nauczycielski
16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Dla młodych widzów: Wychowawca (13)
16.40 Program nastolatków

17.15 Teleexpress
17.35 Szumy, zlepy, ciągi
17.55 Klinika zdrowego człowieka
18.15 Świat w oczach Lema
18.25 Rewizja nadzwyczajna
18.55 Zielona linia
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.10 Dynastia
21.10 ABC ekonomii
21.15 Studio sport
23.00 Wiadomości wieczorne
23.20 Lenin na dobranoc
23.30 BBC

PROGRAM II
7.30 Panorama
7.35 Rano
8.10 Ulisses 31 – serial prod. francuskiej
8.35 Telewizja biznes
8.55 Świat kobiet
9.25 Pokolenia – serial produkcji USA
9.45 Rano
10.00 CNN
10.10 Język niemiecki (8)
16.30 Panorama
16.40 Pokolenia – serial produkcji USA

17.00 Losowanie Toto – lotka
17.05 Punkt widzenia
17.35 Albo, albo (4) ser. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Serial dokumentalny produkcji USA
19.30 Język angielski (39)
20.00 Nagrody Grammy (1)
21.00 Panorama
21.25 Narzeczona Stalina – film fab. prod. węgierskiej
22.55 Sport
23.05 997 – kronika kryminalna
24.00 Panorama

PROGRAM I

12.00 Agroszkoła
12.35 Film dokumentalny
13.10 Pamiętnik prof. Kramera
13.35 Na zimnym kontynencie
13.45 Opowieści księżniczki Lilavati
14.00 Film przyrodniczy
14.30 Zwierzęta świata
15.00 Bios znaczy życie
15.30 Przechłamy i morza
16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Kwant

17.15 Teleexpress
17.35 Telemuzak
18.05 Spin
18.25 Reportaż
18.45 Magazyn katolicki
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.10 Miller i Mueller (4) – serial prod. USA
21.10 ABC ekonomii
21.15 Program publicyst.
21.35 Pegaz
22.05 To nie jest sprawiedliwe
22.45 Wiadom. wieczorne
23.05 Family album
23.35 BBC

PROGRAM II
7.30 Panorama
7.35 Rano
8.10 Łebski Hary – serial prod. francusko-ameryk.
8.35 Telewizja biznes
9.00 Świat kobiet
9.25 Pokolenia – serial produkcji USA
9.45 Rano
10.00 CNN
10.10 Język angielski (9)
16.30 Panorama
16.40 Pokolenia – serial produkcji USA

17.05 Pół godziny nowoczesności
17.35 Marc i Sophie (12) – serial prod. francuskiej
18.00 Program lokalny
18.30 Legendy filmu
19.30 Język francuski (8)
20.00 Studio sport
21.00 Panorama
21.20 Sport
21.30 Kaszubskie korzenie
22.10 Wieczory z Tadeuszem Kantorem
23.10 Pasma hipermultimedialne Marcina K.
24.00 Panorama

PROGRAM I

13.50 Religie i kościoły w Polsce
14.35 Jeśli nie Oxford, to co?
15.05 Telewizja edukacyjna
15.30 Uniwersytet Nauczycielski
16.00 Studio 7 proponuje
16.15 Ciuchcia
17.05 Język angielski dla dzieci (36)
17.15 Teleexpress
17.35 Piłkarska kadra czeka
17.45 W kinie i na kasecie
18.10 Bill Cosby show

18.35 Raport
19.00 Reflex
19.15 Dobranoc
19.30 Wiadomości
20.10 Magnat prasowy (1) – 6-odcinkowy serial prod. australijskiej
21.15 ABC ekonomii
21.25 Polskie zoo
21.35 Zapis
22.15 Prince w Tokio
23.25 Wiadom. wieczorne
23.45 Lenin na dobranoc
23.55 Wieczór konesera: Cobra Verda – film prod. niem.

PROGRAM II
7.30 Panorama
7.35 Rano
8.10 Lucky Luke – ser. franc.
8.35 Telewizja biznes
8.55 Świat kobiet
9.25 Pokolenia – serial produkcji USA
9.45 Rano
10.00 CNN
10.10 Język angielski (39)
16.25 Powitanie
16.30 Panorama
16.40 Pokolenia – serial produkcji USA

17.05 Archiwum Neptuna – Październikowa blokada
17.30 – 21.00 Program lokalny
21.00 Panorama
21.20 Sport
21.30 Przygody dobrego wojaka Szwajjka (8) – serial prod. austriackiej
22.30 Telewizja alternatywna (1)
24.00 Panorama
0.05 Telewizja alternatywna (2)

**PRODUCENT
PÓLAUTOMATYCZNYCH**

**URZĄDZEŃ
DOZUJĄCYCH**

środkie płynne
i półpłynne,
chemiczne
i spożywcze
– Spółka

„MIX”

zaprasza
Szanownych
Klientów
do nowej siedziby
firmy –
Rybnik-Stodoły
ul. Junaków.
Informacja
telefoniczna:
Katowice
tel. 155-14-09.

28
CZWARTEK

Zdzisława
Grzegorza

29
PIĄTEK

Błażeja
Saturnina



Dolegliwości, które ostatnio odczuwasz trzeba poświęcić nieco więcej uwagi, by z przejściowych nie przerodziły się w chroniczne. Więcej uwagi poświęć też obowiązkowi zawodowemu, które ostatnio, udając się w krainę fantazji, bardzo zaniedbujesz. Powrót na ziemię bywa bolesny, a rzeczywistość budzi złość, ale nie ma powodu, by wyładowywać ją na bliskich.

Masz przemożną ochotę rządzenia i rozkazywania. Czemu nie próbujesz dostosować się do innych? Wszak wszystko wskazuje na to, że nie masz racji. Konsekwencja nie polega na upieraniu się przy swoim. W sferze uczuć skłonność do romantycznych uniesień idzie u ciebie w parze z dużą niecierpliwością. Nie wróży to dobrze Waszemu związkowi.

Sukcesy na gruncie zawodowym i towarzyskim. Wykorzystaj wszystkie szanse, bo cel jest blisko. Czekaj Ci awans i znacząca poprawa sytuacji finansowej. Uważaj jednak, by to powodzenie nie przewróciło Ci w głowie. Zwróć też uwagę na ciemne chmury, jakie coraz częściej pojawiają się w domu. Teraz łatwo możesz je rozwiązać, za dwa lub trzy tygodnie będzie to znacznie trudniejsze.

Najwyższa pora, by wziąć sprawy w swoje ręce. Dłużej nie można już zwlekać. Działając szybko i stanowczo nie rezygnuj z dotychczasowej rozwagi. Myśl o przyszłości. Ograniczaj wydatki do niezbędnego minimum, nie szcędź jednak środków na wyposażenie warsztatu pracy. W uczuciach lekki dyskomfort. Twoje oczekiwania były większe. Może nawet zbyt duże...

Przygotuj się na gwałtowny wybuch długo tłumionej niechęci przeciwnika. Nie odpowiadaj agresją, wysłuchaj go i wyłóż swoje racje. Porozumienie będzie bardzo trudne, ale pozytywny rezultat okaże się trwały. Warto więc włożyć wszystkie siły w jego osiągnięcie. Długo planowaną podróż znów trzeba będzie odłożyć. Nie odkładaj odpowiedzi na list, którego nadawca bardzo się niecierpliwi.

Najtrudniejszy okres masz już za sobą. Sprawy toczą się właściwym torem i teraz nic już nie zmieni ich biegu. Możesz więc pozwolić sobie na odpoczynek, którego tak bardzo ci brakowało. Zimowe urlopy mają swój nieodparty urok. Tegoroczny – da ci okazję do zawarcia interesującej znajomości, która może okazać się najważniejsza w Twoim życiu. Wszystkiego najlepszego!

Panuj nad sobą. Nerwy odmawiają ci posłuszeństwa, choć wiesz, że atmosfera napięcia najgorzej służy realizacji powziętych przez Ciebie zamiarów. Chaotyczne działania oddalają Cię od celu, który wydawał się tak bliski. Weź się w garść! Błędy można jeszcze naprawić. Pamiętaj także, iż wszystkie rachunki trzeba płacić w terminie. Masz znaczne zaległości.

Twoje rozdrażnienia i frustracje są przykre dla otoczenia, które nie ponosi winy za zaistniałą sytuację. Ty nie ponosisz jej także. Uwierz, że winien jest zbieg okoliczności. Niczego nie da się jednak załatwić za pomocą czarodziejskiej różdżki. Cierniowość i czas okazają się najlepszym lekarstwem. Ktoś bliski chętnie ci pomoże. Nie kryj przed nim swych trosk.

Nie zbaczaj z drogi. Rady najlepszych przyjaciół bywają najgorsze. Postępuj tak, jak dotychczas. Nie daj się wciągnąć w żadne nowe układy. Problemy mieszkaniowe wkrótce się skończą, lecz niezbędne będą znaczne wydatki. Odłóż więc na przyszłość kupno nowego telewizora. Unikaj tłoku. Wśród złodziei kieszonekowych notuje się znaczny wzrost aktywności „zawodowej”.

To nie było dobre posunięcie. Wycofaj się szybko z niefortunnej decyzji, a w przyszłości zasięgnij rady swych najbliższych. Nie wchodź w cudze kompetencje, skup się na swoich obowiązkach. Za mało uwagi poświęcasz rodzinie, a stosunki sąsiedzkie są zdumiewająco złe. Nie wszystko da się usprawiedliwić zmęczeniem. Wszystko da się jednak naprawić. Umiejętności dyplomatyczne zawsze były Twoją dobrą stroną.

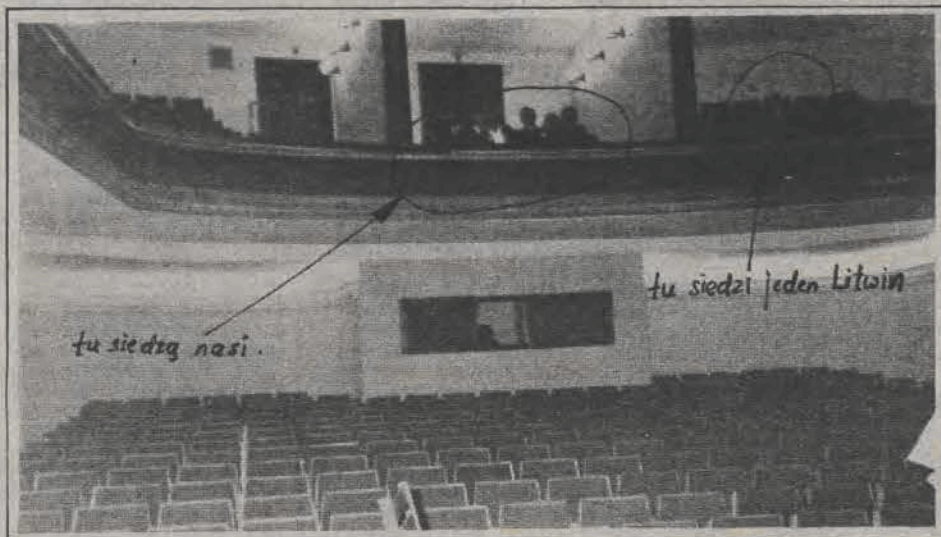
W pracy – dasy i kwasy, w domu – chłód i ogólne niezadowolenie, a przecież tyle w Tobie dobrej woli. Warto uruchomić „energie pozytywne”. Na efekty nie będzieś długo czekać. Nie spiesz się z wprowadzaniem do Twojego życia tych radykalnych zmian, do których nakłania Cię pelen temperamentu przyjaciół z lat dzieciennych. Ryzyko jest zbyt duże. Nie słuchaj plotek!

List, zawiadomienie, wiadomość niestety nie dotrą na czas, co znacznie skomplikuje przebieg wydarzeń w najbliższych dniach. Nie obarczaj nikogo winą za poniesione straty. Pamiętaj także, iż trzaskanie drzwiami nie jest najlepszym argumentem w dyskusji. Duży zakup okaże się najzupełniej nieudany. Kiedyż wreszcie odłączysz się szastania pieniędzmi?



Właściwie do dziś nie wiem na pewno, kto był organizatorem „Dni Łodzi w Wilnie”.

Grunt się pokazać



Poszukiwania zaczęły się już w niedzielę rano, podczas wyjazdu. Kiedy po blisko godzinym oczekiwaniu na autokary uczestnicy imprezy – głównie radni, a także kilku dziennikarzy – wsiedli do samochodów, pojawił się problem kierownika grupy. Do funkcji tej nie przyznawał się nikt. Propozycja wyłonienia szefa w powszechnych i tajnych wyborach została potraktowana jako żart. Na razie.

W miarę zbliżania się do granicy polsko-litewskiej problem zaczął przybierać na wadze. Do głosowania jednak nie doszło – kierownikiem został radny siedzący najbliższej kierowcy. Wybór okazał się trafny – przekraczanie granicy trwało niespełna godzinę. Po kilku następnych znaleźliśmy się w Wilnie.

Tutaj właśnie – w hotelu „Turistas” – miał miejsce pierwszy kontakt z organizatorami imprezy ze strony litewskiej, Polakami, członkami Towarzystwa Kulturalnego Polaków na Litwie im. Syrokomli. Niestety, poza ciepłymi słowami powitania nie byli w stanie odpowiedzieć, w którym hotelu mieszkamy, w którym pokoju i czy w ogóle. Jak się okazało, zarezerwowane dla gości z Łodzi pokoje ktoś już zajął. Kto – nie wiadomo. Noc spędziliśmy jednak w pokoju. Jak się później okazało – nie wszyscy mieli tyle szczęścia...

„Dni Łodzi w Wilnie” zainaugurowało spotkanie z merem miasta Arunasem Sztarąsem i przewodniczącym Rady Arunasem Grumadašem. Rozmowę zaczął przewodniczący Rady Miasta Łodzi Andrzej Ostoja-Owsiński. Kiedy po raz pierwszy padły słowa „... wielki Polak marszałek Józef Piłsudski...” twarze Litwinów stężały. Jednak wbrew obawom z ust przewodniczącego popłynęły słowa „przyjaźni”, „szansa” i „współpraca”. Po przeciwnej stronie stołu pojawiły się nawet życzliwe uśmiechy.

Nie na długo. „Czas, aby Litwa zaczęła się stosować do europejskich norm współżycia z mniejszościami narodowymi” – tak zaczął swoje wystąpienie prezydent Palka. Niedobrze. Odpowiedź Litwinów utrzymana w podobnym tonie spotkała się z ripostą prezydenta. Litwini znów odbijają piłkę... Atmosfera zrobiła się nieciekawa.

Sytuację uratował przewodniczący, który stwierdził, że najwyższy już czas przejść do

nieoficjalnej części spotkania i wręczyć gospodarzom upominki. Uroczysty obiad w hotelu „Vilnius” dopełnił dzieła porozumienia.

Pierwszy dzień imprezy wyraźnie pokazał, że nie wywołuje ona zbyt dużego oddźwięku. Milczała telewizja, gazety ograniczyły się do suchych notatek, a na słupach ogłoszeniowych w mieście nie spotkałem ani jednego plakatu.

„Dni Łodzi w Wilnie” – wicedyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miasta – Adama Wichlińskiego. Za drzwiami stał kierowca wojewody.

– Panie dyrektorze, wojewoda śpi.

– To dobrze.

– Ale śpi na ławce w recepcji.

– To niedobrze.

Kłopoty ze zdobyciem łóżka w hotelu nie omijały nikogo...

Przyszedł wreszcie czas na sukces. W sobotę podpisano umowę o powołaniu Łódzko-Wileńskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. Sukces tym większy, że rozmowy zaczęły się od wyjaśnienia czym jest Izba Przemysłowo-Handlowa i czemu służy. Na dźwięk słowa „promocja” Litwini ciekawie nadstawili ucha. Kiedy wreszcie trudności leksykalne zostały pokonane biznesmeni z Litwy stwierdzili, że im ta „promocja” nie jest potrzebna. Mimo to Izba powstała. Jednak nie wszyscy rzemieślnicy byli zainteresowani współpracą z Litwą. Po dwudniowych próbach przekroczenia granicy kilku z nich zarzekło się, że ich noga więcej tu nie postanie...

„Dni Łodzi w Wilnie” od samego początku miały fatalną prasę. Najprawdopodobniej to właśnie było powodem zorganizowania konferencji prasowej na długo przed zakończeniem imprezy. Dziennikarze pytali – dlaczego program imprezy przewidywał atrakcje głównie dla łodzian? Dlaczego ze strony litewskiej „Dni Łodzi” organizowane były przez Towarzystwo im. Syrokomli, a nie przez Związek Polaków na Litwie? Dlaczego uczestniczyło w nich zaledwie kilkudziesięciu wilnianów?

Konkluzja napawała optymizmem – „Na wiosnę zrobimy to lepiej. Na razie najważniejsze, że się w ogóle pokazaliśmy”. Konferencja się skończyła. A ja do dziś nie wiem, kto był jej organizatorem.

Piotr Wolski

Pomost

Gdy padła już ostatecznie doktryna „obozu” i skończyły się dla nas te miłe czasy, gdy byliśmy „najweselejszym barakiem w obozie”, zapanowała w Polsce doktrynalna pustka.

Przedtem było wiadomo; my naród dowcipny i swawolny nie musimy rzeczywistości traktować serio. Co drugi zakładał kostium Wallenroda, co piąty Winkelrida, a co dziesiąty udawał Pietrzaka. Było się czego trzymać i choć czym było weselej tym głodniej, jakas myśl przewodnia naród scalała.

Aż tu nagle spory naród został bez idei. I wtedy ktoś na Zachodzie (z dobrego serca) powiedział, że Polska mogłaby być pomostem między Zachodem a Wschodem. Pomostem kulturowym, rzecz jasna a nie gospodarczym, bo to już Zachód weźmie na własne barki, żeby nas nie przeciążać.

Z braku czegoś lepszego czepiono się tego hasła. Ścisłe mówiąc czepilo się go paru żurnalistów i ze trzech polityków, bo reszta narodu w tym czasie uganiała się za przecenionymi magnetowidami.

Ale jednak stanęło na tym, że tym pomostem będziemy. Doktryna (efektywna i wyróżniająca) mile poleciała próżność narodową i została przyjęta. Ale przy jej realizacji od razu pojawiły się kłopoty. Okazało się, że samoloty zachodnie i wschodnie latają nad nami, statki płyną górą a jeżeli nawet coś przejedzie przez nasz kraj, to jest to wojskowy pociąg i za darmo.

I tu na szczęście przyszła nam z pomocą Polonia. Bo oto zaczęli do nas zjeżdżać rodacy, którzy pod przymusem albo z własnej woli dawno w kraju nie gościli. Stawiają pierwsze kroki na naszej ziemi i od razu mówią: „Śmierdzie. Brudno, ciemno i pełno chamstwa.” A gdy my kulimy się ze wstydu, dodają: „Bierzcie się do roboty, bo pracy nie szanujecie.”

I oto mamy już część pomostu. Zachód przynosi nam swą kulturę. Nawet polityczną. Bo i w telewizji pełno rodaków z Zachodu, którzy mówią: „Chamsko, brudno, bierzcie się do dekomunikacji.”

Druga część pomostu wygląda tak, że jadą teraz na Wschód nasze delegacje rządowe, gminne, rodzinne i mówią do Polaków za Bugiem: „Brudno tu u was. Chamsko i śmierdzi.” A tancerze szczęśliwi, że i do nich zawitala wreszcie zachodnia kultura. Przez pomost.

No i pięknie. Jesteśmy tedy wreszcie pomostem Europy. Tyle tylko, że sami dla siebie. Ale może to i lepiej, że Europa nie zajęła się na razie nami na serio. Z własnej ręki mniej boli.

Jerzy Hutek